



Barbara Cartland

Miłość w krainie Thagów

Terror in the sun



Od Autora

W Nowy Rok 1833, William Sleeman rozpoczął oficjalną inspekcję podległych mu terytoriów. Niesiono go w palankinie, który jak zwykle był eskortowany przez oddział sipajów i kawalerii w asyście słoni.

Z Saugoru wyjechała z nim żona, Amelia. Szóstego dnia podróży, gdy dostała bólów porodowych, rozbito obóz w gaju owocowym. Był on od wieków powszechnie znany jako bele - miejsce thagów. Tam urodził się syn Sleemanów.

W kilka lat później William Sleeman został rezydentem w Lucknow. Należał do najwybitniejszych przedstawicieli brytyjskiej administracji w Indiach. Przed śmiercią w 1854 roku był generałem i rezydentem pałacu Oudh.

Rekomendowany do tytułu szlacheckiego otrzymał go pośmiertnie.

Do 1841 roku thagowie przestali praktycznie istnieć, niemniej urząd Wyższego Inspektora przetrwał jeszcze następne 63 lata.

Rozdział pierwszy

Rok 1832

- Czy życzy pan sobie, panie majorze, aby pociąg już odjechał?

Głos hinduskiego strażnika zdradzał respekt. Strażnik odwrócił głowę i przyglądał się panującemu na peronie zamieszaniu, spowodowanemu przyjazdem pociągu, który niedawno wprowadzony do Indii uważany był powszechnie za straszliwego smoka zionącego ogniem.

Hindusów, ubranych w dhoti, sari, podarte łańchmany i przepaski na biodrach, ogarnęło dzikie szaleństwo. Straganiarze zerkali błagalnym wzrokiem w okna przeładowanych wagonów i krzycząc tubalnym głosem oferowali karpati, pomarańcze, kolorowe kandyzowane owoce i czerwone napoje.

Księża w żółtych szatach, żołnierze w purpurowych mundurach, bagażowi z ogromnymi ładunkami poszturchiwali się i popychali jeden drugiego.

Zewsząd dobiegały słowa żarliwych pożegnań. Ludzie z emocją instruowali podróżnych, jak mają się zachować, sądzeni bowiem, że jazda tym okropnym monstrum grozi utratą życia.

Tymczasem major Iain Huntley spokojnie obserwował grupę mężczyzn stojących za stertą bagaży. W jego przekonaniu, przyszli oni tutaj jedynie po to, by rozniecić tumult.

Gdy tylko strażnik rozwinął swoją czerwoną chorągiew i oddalił się, zaczęło się istne piekło.

Hindusi ruszyli naprzód, z wrzaskiem i krzykiem wymachując przed sobą tyczkami. Nagle, jak spod ziemi, wyłoniło się kilku żołnierzy z muszkietami, którzy pospiesznie skierowali się w tamtą stronę, aby powstrzymać rosnący zamęt.

Mężczyźni, zachowujący się jak zwykli awanturnicy, robili wszystko, by dokuczyć podróżnym; popychali całe rodziny i przeskakiwali przez grupy wyczekujących swojego pociągu. Ludzie ci siedzieli lub spali na peronie obok swego cennego dobytku, który składał się przeważnie ze skromnych paczek powiązanych sznurkiem. Prawie każda rodzina miała kilkoro dzieci, a także nieodzowną kozę lub nawet dwie.

Napaść od tyłu była dla nich całkowitym zaskoczeniem. Ludzie z krzykiem wywracali się na ziemię, dzieci piszczwały, a kozy wyrywały się becząc przeraźliwie.

Karpati fruwały w powietrzu, tłukły się ciężkie szklanki z kolorowymi napojami. Zwierzęta uciekały wzdłuż peronu, a w szaleńczej pogoni za nimi biegli właściciele.

Major pomyślał z ulgą, że żołnierze zdołają opanować ten bałagan, gdy tylko pociąg ruszy. Niespiesznie zaczął iść w stronę swojego wagonu, przy którym już stał jego służący otwierając drzwi.

Koła zaczęły bieg, a gwizd pary i syk lokomotywy stłumiły wszystkie inne dźwięki. Wyprodukowana w Anglii maszyna zdawała się przytłaczać swym rozmiarem całe otoczenie.

Zbliżając się do otwartych drzwi wagonu, major

Huntley ku swemu zdziwieniu zobaczył, że schodkami obok schodzi na peron ubrana na biało kobieta.

Wprawnym okiem dostrzegł natychmiast, przyzwyczajony do szybkiego oceniania niecodziennych sytuacji, że zamierzała uratować przewrócone przez awanturników niemowlę, które niezauważone przez nikogo leżało na ziemi zupełnie bezradne wobec groźby zdeptania.

Małe, niewiele większe od zwoju szmat, krzyczało wniebogłosy.

Kobieta wyciągnęła po nie ramiona i nie upłynęła sekunda, kiedy major chwycił ją, a potem wepchnął z powrotem do wagonu.

Pociąg sunął do przodu, miarowo przyspieszając tempo. Nie było już czasu na powrót do swego wagonu, więc major wskoczył za kobietą i zamknął drzwi.

Odwrócił się i ujrzał las wymachujących pięści. Chuligańskie okrzyki przypominały wycie szakali, którym odebrano zdobycz.

Kiedy pociąg zwiększył szybkość i peron został w tyle, Huntley spojrzął wreszcie na kobietę, którą potraktował tak bezceremonialnie.

Ku jego zaskoczeniu, była młoda i wyjątkowo ładna.

Zrzuciła kapelusz i jej ciemne, kręcone włosy opadły na jasne czoło, a duże, brązowe, cętkowane złotymi plamkami oczy patrzyły na niego z wściekłością.

- Dziękuję za tę interwencję - zaczęła ostro. - Dziecko niewątpliwie zostanie teraz zabite!

- Co pani tu robi i kim pani jest? - spytał wprost. Siadając, z niedowierzaniem rozejrzał się za osobą do towarzystwa młodej damy.

W przedziale nie było jednak nikogo. Zanim zdążyła odpowiedzieć na jego pierwsze pytanie, zadał już następne:

- Kto panią wysłał tym pociągiem? Nie miał prawa tego zrobić!

- Sądzę, że każdy kogo stać na bilet, może podróżować pociągami!

- Ale nie tym. Ten jedzie do Saugoru.

- Wiem i właśnie tam się wybieram.

- Do Saugoru?

Panna, do której słowo „kobieta” jeszcze nie pasowało, wyprostowała się.

- Przypuszczam - rzekła po chwili - że czuje się pan upoważniony, by mnie przepytować?

- Całkowicie - odparł natychmiast. - Zostało wydane rozporządzenie, aby żaden Europejczyk nie dojechał do Saugoru, który jest obecnie obszarem zamkniętym.

- Dlaczego?

- Przyczyną są oficjalne nakazy administracyjne - odparł wymijająco major - ale pani nie odpowiedziała na moje pytanie.

Domyślił się, że wcale nie miała zamiaru tego robić, więc dodał bardziej opanowanym tonem:

- Sądzę, że powinniśmy się zaznajomić. Nazywam się Iain Huntley, a mój mundur, czego z pewnością się pani domyśla, wskazuje na przynależność do oddziału bengalskich lansjerów. Aktualnie pełnię specjalną służbę w tym rejonie.

Przerwał i czekał na odpowiedź.

Pomyślał, że dziewczyna, która go właśnie słuchała była stanowczo zbyt młoda i zbyt ładna, aby podróżować samotnie po jakimkolwiek obszarze Indii, a już z pewnością nie w tym szczególnym dystrykcie i w tak wyjątkowym czasie.

Jej milczenie było wymowne, jakby dawała do zrozumienia, że nie zamierza udzielać mu informacji. Jednak

nie chcąc przedłużyć tej kłopotliwej sytuacji, odezwała się z nieskrywaną niechęcią w głosie:

- Nazywani się Brucena Nairn.

- I podróżuje pani do Saugoru?

- Tak.

- Czy mogę wiedzieć, w jakim celu?

- Jadę do przyjaciół.

- Moja ciekawość nie jest przypadkowa - powiedział major - dlatego chciałbym znać ich nazwiska.

Miał wrażenie, że znowu się zbuntuje i każe nie wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

Była ciągle zła - widział to w jej oczach. Pomyślał, że są teraz pełne wyrazu i choć ciemne, miały w sobie tak dużo słonecznego żaru, że w kilka godzin mogłyby zmienić równinę za oknem w piekielną pustynię.

- Jadę do kapitana Sleemana i jego żony - odezwała się mówiąc powoli dźwięcznym głosem.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Do Sleemanów? Czy to możliwe?

- Czy to brzmi aż tak niewiarygodnie?

- Trudno mi uwierzyć, żeby William Sleeman oczekując takiego gościa jak pani, nie uprzedził mnie o tym, aby odpowiednio panią przyjąć.

Wzruszyła ramionami.

- Skoro tylko o to panu chodzi, nie widzę powodu, aby kontynuować rozmowę.

Wyzywająco uniosła do góry swój mały podbródek i rozmyślnie spojrzała w okno, na znak, że dalsza wymiana zdań rzeczywiście nie miała już dla niej sensu.

Major Huntley uśmiechnął się mimowolnie.

Rozbawiła go wrogość tej małej istotki, której przecież nie wolno było podróżować, a mimo to pozwalała sobie z nim na kłótnie.

Pomyślał, że najrozsądniej będzie się pogodzić.

- Muszę panią przeprosić, panno Nairn - powiedział - ale szczerze mówiąc zaskoczyła mnie pani. Od tygodnia Saugor znajduje się w strefie zakazanej dla wszystkich Europejczyków, Jak sama zauważyła pani na peronie, mamy tu sporo problemów. Jeśli zostałaby pani bez pomocy, mogłaby znaleźć się w niezmiernie trudnej sytuacji.

- Jaka jest przyczyna tych awantur? - spytała.

- O tej porze roku zwykle bywają kłopoty - odparł wymijająco - lecz ciągle nie rozumiem, dlaczego kapitan Sleeman nie powiedział mi, że się pani spodziewa.

Mówiąc to dostrzegł ze zdumieniem, że policzki dziewczyny lekko się zaróżowiły, a oczy na moment błysnęły.

- Czy naprawdę państwo Sleeman oczekują pani - spytał już innym tonem.

Minęła krótka chwila, zanim odpowiedziała cicho:

- Mam... nadzieję.

- Pani ma nadzieję?! - powtórzył. - Będę wdzięczny, jeśli powie mi pani dokładnie, co się wydarzyło i dlaczego pani się tu znalazła!

- Nie ma potrzeby... - zaczęła.

Wtem jej oczy napotkały jego wzrok i nieomal wbrew swej woli poddała się.

W jej odczuciu miał w sobie coś bardzo apodyktycznego, czego nie akceptowała. Równocześnie jednak czuła, że nie potrafi już dłużej lekceważyć majora.

- A więc... tak - odrzekła po chwili - kapitan Sleeman jest moim kuzynem.

- I zaproponował pani przyjazd do siebie do Indii? - przerwał zaczynając wszystko rozumieć.

- N-nie... zupełnie - prawie wymamrotała, a on kierując na nią spojrzenie zapytał:

- Jak mam to rozumieć?

- Jego żona, pani Sleeman, napisała do mnie list z prośbą, bym znalazła dla niej... niańkę do dziecka. Spodziewa się... rozwiązania w przyszłym... roku.

Brucena zaczerwieniła się zażenowana rozmową na tak intymny temat, więc zareagował prędko:

- Tak, tak. Wiem o tym.

- Szukałam wszędzie odpowiedniej osoby, która zechciałaby przyjechać do Indii, ale wszystkie odmawiały.

Przypomniała sobie teraz, jak trudnym zadaniem było przekonywanie mieszkanki hrabstwa Inverness, że Indie spełniłyby ich wszystkie oczekiwania związane z pracą.

Nie tylko dziewczęta wyrażały swą niechęć. Ich matki także.

- Nie chcę, by moja pociecha obracała się wśród pogan - powtarzały w kółko w szkockim dialekcie. - Tu znajduje się pod moją troskliwą opieką i nigdzie nie pojedzie.

- Nie powinna pani lekceważyć faktu, że będzie to dla niej przygoda i nauka zarazem - przekonywała Brucena, by usłyszeć jedną, niezłomną odpowiedź Szkotki:

- Moje dziecko nie będzie miało takich przygód w tym wieku, panno Bruceno. Jeśli jest to tak atrakcyjne, dlaczego panienka sama nie pojedzie?

I właśnie ta odpowiedź jako pierwsza nasunęła jej pomysł wyjazdu.

Z początku nie traktowała tego zbyt poważnie. Potem, w miarę piętrzących się trudności ze zwerbowaniem niani dla kuzynki Amelii, zaświtała jej myśl, że może Indie przywołują ją do siebie i byłaby niemądra odrzucając to zaproszenie.

W domu rodzinnym przestała czuć się szczęśliwa odkąd podrosła na tyle, by dostrzec poważne rozczarowanie ojca z tego powodu, że nie była chłopcem.

Generał Nairn miał dwie namiętności - wojsko i podtrzymanie ciągłości rodu.

Największą przyjemność sprawiało mu przeglądanie kronik dziejów rodziny Nairn na przestrzeni wieków i szukanie dowodów na to, że jeśli nawet jej członkowie w niczym się nie wyróżniali, to z pewnością byli dzielnymi żołnierzami.

Brucena wiedziała, jak, będąc jeszcze młodym chłopcem, marzył o dniu, kiedy jego syn lub kilku synów będzie walczyć przy jego boku, zdobywając trofea wojenne, by dołączyć je do tych, którymi już obwieszono były ściany pomieszczeń zamkowych.

- To ja jestem przyczyną zawodu papy - stwierdziła, gdy jeszcze nie miała dziewięciu lat.

Z upływem lat zaczęła sobie uświadamiać, jak bardzo był do niej uprzedzony, ponieważ ze względu na swoją płęć zawiodła jego największe ambicje.

Jeśli nie przypominano jej o tym w inny sposób, to pamiętała to ilekroć wymawiano jej imię.

„Bruce” było nazwą rodu Nairn i ojciec ochrzcił ją imieniem „Brucena”, jakby rzucając wyzwanie bogom, którzy sprawili mu niesmaczny dowcip, odmawiając dziedzica, którego tak gorąco pragnął.

Potem jeszcze, a było to przed dwoma laty, gdy umarła jej matka, ojciec z nieprzyzwoitym pośpiechem, skorzystał z nadarzającej się okazji i ponownie się ożenił.

Jego drugą żoną została młoda kobieta i choć z wyglądu bardzo się różniły, była zaledwie trzy lata starsza od jego własnej córki i mogła uchodzić za „dobry surowiec rozplodowy”.

Silna, dobrze zbudowana i bez pretensji do swojego wyglądu, Jean była dumna i oczarowana małżeństwem z właścicielem zamku Nairn. Jednak obecność w nim pasierbicy irytowała ją od pierwszego ich spotkania.

Było do przewidzenia, że uroda Bruceny i jej atrakcyjność kusząca mężczyzn, nie mogły wzbudzić sympatii żadnej macochy, a tak młodej, w szczególności.

Napięcie, które istniało między córką a ojcem, uwydatniało się szybko i gwałtownie zawsze wtedy, gdy w grę wchodziła jego nowa żona. Kiedy sześć miesięcy temu Jean urodziła długo oczekiwanego syna, Brucena uznała, że dłużej nie utrzyma swojej pozycji na zamku.

Ganiona często przez jedno z nich, starała się zignorować nienawiść w oczach drugiego. Była przekonana, że kiedy rozpuszczony i uwielbiany dziedzic zacznie ze zrozumieniem słuchać i obserwować, znienawidzi ją także.

- Muszę uciekać - myślała nie raz, a tysiąc razy: nie miała jednak pojęcia dokąd.

Kuzyni rodziny Nairn nie zamierzali jej przygarnąć pod swój dach, chociażby dlatego, że czuliby się nieswojo składając taką propozycję, skoro sam generał pierwszy nie zwrócił się do nich z taką prośbą.

Chociaż Brucena nie wspominała nic na ten temat, domyślała się, że duma ojca nie pozwoliłaby mu ani na proszenie o przysługę, ani na zaakceptowanie propozycji kuzynów, których uważał za nudziarzy i rzadko zapraszał do swego zamku.

Jedynym majątkiem Bruceny było trzysta funtów, jakie w spadku pozostawiła dla niej babka.

Nakazano, by nie wydawała tych pieniędzy. Wiedziała również, że ojciec włączyłby je w jej posag po zamążpójściu, co uchroniłoby go częściowo przed wydatkami, do których i tak był zobligowany.

Teraz wiedziała, że sam Bóg zesłał jej te pieniądze, ponieważ należały tylko do niej i będzie miała czym opłacić podróż do Indii.

Rozważała długo, czy powinna zwierzyć się ojcu ze swoich planów, lecz w końcu odrzuciła tę myśl.

Miała wrażenie, że chociaż jej nie lubił, bawiła go obecność osoby, z którą mógł się kłócić i besztać bez umiaru.

Była pod ręką i kiedy tylko nachodził go zły humor wyładowywał na niej cały swój gniew w sposób, na jaki nie pozwoliłby sobie w stosunku do innej osoby.

Raptem wszystko wydało się proste. Ułożyła plan działania i niewiele przeszkód było do pokonania po drodze do urzeczywistnienia go.

Jedyna przyjaciółka z lat dziecięcych zaprosiła ją do Edynburga, dokąd wybierała się z rodzicami.

- Papa i mama będą bardzo zajęci - powiedziała Brucena - ponieważ papa ma podjąć kilka ważnych osobistości, które przybędą z Południa na inspekcję oddziałów. Z obawy, że będę czuła się tam zbyt osamotniona zaproponowali, bym wzięła cię ze sobą. Połazimy po sklepach, może dostaniemy zaproszenie na bal. W każdym razie będziemy się razem dobrze bawić!

- Oczywiście! - przyznała Brucena.

Sądziła, że ojciec będzie robił jakieś trudności, ale ku jej zdziwieniu powiedział, że to dobry pomysł, jeżeli pobyt w Edynburgu nie przedłuży się.

Pomyślała, że postawił ten warunek jedynie dlatego, że sam zazdrościł jej zabawy. Zachowywał się też dużo łagodniej niż mu się to zdarzało przed rokiem, zanim urodził się dziedzic - kontynuator nazwiska antenatów.

Gdy odjeżdżała, widząc zdawkowe pożegnania ojca i macochy, przekonała się, że w rzeczywistości byli bardzo zadowoleni z jej chwilowej niebytności w domu.

Ten właśnie fakt oczyścił jej sumienie z poczucia najmniejszej winy za to, co miała zamiar uczynić.

W Edynburgu spędziła tydzień na zakupach, ukradkiem przygotowując rzeczy potrzebne na wyjazd.

Była na tyle roztropna, żeby przed dotarciem do obcego kraju czegoś się o nim dowiedzieć. W domu nie zdołała odnaleźć żadnej książki na tematy, które ją interesowały.

Jednakże w edynburskich księgarniach znajdowało się mnóstwo informatorów o Indiach i wkrótce zebrała całkiem sporą biblioteczkę wiedząc, że wszystko zdąży przeczytać podczas długiej, nużącej podróży.

W Edynburgu powiedziała znajomym, że musi wracać do domu, ponieważ czeka na nią ojciec, a kiedy niechętnie się z nią pożegnali, wsiadła w pociąg jadący do Londynu.

Tu, pomyślała w czasie podróży na Południe, zaczyna się wielka przygoda.

Nie miała żadnych wątpliwości, że da sobie sama radę i bezpiecznie dotrze do Indii.

Kuzynka Amelia przysłała jej szczegółowe wskazówki, w jaki sposób zwerbowana niania miała dojechać na miejsce.

Kiedy Brucena wczytała się w strony eleganckiego, drobnego pisma krewnej pomyślała, uśmiechając się do swoich myśli, że ta sytuacja przypomina raczej ekspediowanie wartościowej paczki, która nie powinna zostać uszkodzona podczas wysyłki.

Dowiedziała się, że firma P. & O. wyręczy ją we wszystkim, a przyzwoitka dla młodej kobiety znajduje się wśród pasażerów podróżujących drugą klasą.

Kuzynka Amelia pisała:

Do Bombaju będą jechały misjonarki i kobiety należące do różnych chrześcijańskich stowarzyszeń. Chociaż jestem pewna, że nie przyjęłyby pieniędzy za swoje usługi, które traktują jako akt miłosierdzia, to jednak powinnaś wręczyć kobiecie, którą przyślesz, odpowiedni prezent w rewanżu za ich uprzejmość.

W biurze firmy P. & O. Brucena opowiedziała cokolwiek zmienioną historię:

- Muszę wyjechać do Indii do kuzynów, a tak nieszczęśliwie się złożyło, że moja opiekunka zachorowała. Zastanawiam się, czy nie mógłby pan znaleźć kogoś, kto byłby tak uprzejmy i towarzyszył mi w podróży?

Urzędnik spojrzął na ładniutką buzię Bruceny i pomyślał, że opiekunka niewątpliwie przydałaby się tak urodziwej dziewczynie.

Zawsze znajdują się jacyś oficerowie powracający z urlopów, a zawiązywanie pokładowych romansów należało do mniej żmudnych obowiązków każdego boya.

Czasem jednak byli oni stawiani w kłopotliwej sytuacji, gdy pasażerowie spoufalali się ze sobą za bardzo i nie starali się tego ukryć.

Urzędnik, tak jak spodziewała się pani Sleeman, czuł się zobowiązany wyświadczyć przysługę.

- Sądzę, że znalazłem osobę dokładnie taką, o jaką pani chodzi, panno Nairn - odparł. - Canon Grant z żoną wracają do Bombaju i jestem pewien, że pani Grant z przyjemnością uczyni tę grzeczność, jeśli przedstawię jej pani sytuację.

- Jest pan niezwykle uprzejmy - odpowiedziała Brucena.

Z wyrazu twarzy urzędnika odczytała, że nie będzie musiała się o nic martwić.

I nie pomyliła się. Państwo Grant, choć niezwykle nudni, okazali się przemiłą parą. Zapewnili jej powszechny szacunek podróżnych, ale nie absorbowali jej sobą, więc miała dużo czasu na czytanie.

Brała też udział w grach sportowych, a wieczorem stawała się ośrodkiem zainteresowania mężczyzn, którzy mieli ochotę z nią zatańczyć, co oburzało pozostałe dziewczęta na statku.

Po raz pierwszy w swoim życiu czuła się naprawdę wolna. Nie była bez przerwy nagabywana, tak jak to miało miejsce w domu.

Było szczęściem móc wypowiadać swe opinie bez wysłuchiwania słów krytyki, a jeszcze większą radość, której nie potrafiła nawet opisać - stanowiła świadomość, że skoro tylko ojciec dowie się o jej podstęp, nie będzie w stanie już niczemu zapobiec.

Miała wrażenie, że wydała na podróż i ubranie astronomiczną kwotę, chociaż zostało jej jeszcze trochę pieniędzy.

Teraz, kiedy podjęła już nieodwołalną decyzję i opuściła dom, czuła w głębi duszy, że nigdy do niego nie wróci. Postanowiła, że jeśli nawet Sleemanowie jej nie zaakceptują, znajdzie sobie inną pracę.

Zanim statek odpłynął, zadepeszowała do krewnych:

Znalazłam osobę, jakiej potrzebujecie. Szczegóły później.

Pozdrowienia, Brucena.

Umyślnie nie umieściła daty swojego przyjazdu ani wyjaśnienia, dlaczego to ona jedzie zamiast niani, o którą prosiła kuzynka.

Wolała zachować ostrożność na wypadek, gdyby nie zgodzili się na nią i zdążyli zorganizować jej powrót z Bombaju do domu.

- Będą myśleli - powiedziała sobie - że niania przybędzie mniej więcej za miesiąc i, że list, którego wcale nie napiszę, wyjaśni im, kim jest i dlaczego ją wybrałam.

Zastanawiała się nad tym i stwierdziła, że kiedy przyjedzie i będzie gotowa wypełniać wszystko, czego będą od niej wymagać, Sleemanowie dojdą szybko do wniosku, że nie mogą odesłać jej z powrotem.

W końcu będą zmuszeni zatrzymać mnie na jakiś czas - przekonywała sama siebie.

Mimo utwierdzania się w przekonaniu, że może zostać dużo lepszą nianką od prostej szkockiej dziewczyny, nie potrafiła zdławić myśli, że raczej narzucała się ludziom, którzy mogli jej przecież nie zaakceptować.

Wuj William zawsze okazywał jej dużo serca. Pamiętała z dzieciństwa, że kiedy przyjechał na zamek, był tak bystrym człowiekiem, że trochę się go obawiała.

Miał kasztanowe włosy, niebieskie oczy i ładne, szerokie czoło. Po kilku latach, podczas jego drugiej wizyty, dowiedziała się, że znał arabski, perski i urdu.

Pochodził z Kornwalii jak jej matka, a ich rodziny sąsiadowały ze sobą od wieków.

Posiadał niezwykły intelekt, dzięki czemu mając trzydzieści kilka lat został przeniesiony z pułku do cywilnej administracji. Generałowi Nairn imponowało, że ktoś z rodu został sędzią i inspektorem w centralnych Indiach w młodszym wieku niż większość mężczyzn.

Trzy lata temu, w roku 1830, od kapitana Sleemana do generała przyszedł list z wiadomością, że generał-gubernator, lord William Bentinck, przydzielił Sleemanowi bardzo wysoką funkcję.

- Jest odpowiednią osobą na to stanowisko - zagrzemiał generał przy śniadaniu, przeczytawszy list.

- Jakie stanowisko, papo? - dopytywała się.

Nadinspektora, a jego zadaniem jest likwidacja thagów - odparł. - I tak nic z tego nie zrozumiesz.

Mówił w sposób obraźliwy nie tylko jak mężczyzna, który uważa, że rozum kobiety nie wykracza poza kuchnię lub niańczenie dzieci, ale także dlatego, że nie lubił ciekawości Bruceny i jej pytań, których spodziewałby się raczej od chłopca niż dziewczynki.

- Czytałam o thagach, papo - odpowiedziała. - Są zrzeszeni w tajnej organizacji, czczą Kali, i wierzą, że ich świętym prawem jest duszenie ludzi.

- Nie powinnaś interesować się tymi tematami - odparł nieprzyjemnie - ale William już wkrótce opanuje tę zarzę.

- W jaki sposób?

- Dostał pięćdziesiąt oddziałów konnych i czterdzieści oddziałów piechoty sipajów - warknął. To powinno wystarczyć. Gdybym był młodszy, ta praca bardzo by mi odpowiadała.

Brucena miała jeszcze setki innych pytań, ale on wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą list od Sleemana i wiedziała, że nie może mieć nadziei na uzyskanie żadnych informacji.

Starła się dowiedzieć więcej o thagach, ale bez rezultatu. Książki, które kupiła w Edynburgu zawierały prawie dokładnie to samo, o czym już wiedziała.

Teraz, kiedy major Huntley siedział obok patrząc na mu. z cieniem podejrzliwości, powiedziała:

- Mój kuzyn poprosił mnie, żebym przysłała niańkę, ale ponieważ nie udało mi się znaleźć odpowiedniej osoby... przyjechałam sama.

Major uśmiechnął się.

- I nie dała im pani możliwości wyboru? - Nie.

- Zaczynam już rozumieć. Lecz z pewnością nie jedzie pani z Anglii bez opiekunki?

- Do Bombaju wspaniale zajmowali się mną państwo Grant. Znaleźli też dla mnie osobę do Bhopal, ale ta, niestety, w ostatniej chwili zachorowała i zamiast czekać aż znajdą kogo innego, przyjechałam sama.

- Widzę, że jest pani bardzo przedsiębiorczą, młodą kobietą - zauważył. - Jednak niewątpliwie wie pani, że żadna kobieta, zamężna czy niezamężna, nie podróżuje w Indiach sama?

- Sądziłam, że Anglicy sprawują kontrolę nad Hindusami - odparła zaczepnie.

- Staramy się - odparł major. - Jednak trudno mi uwierzyć, że nawet w Anglii podróżowałyby pani bez opiekunki lub służącej.

Poradzę sobie.

- W to raczej wątpię. W tym kraju z pewnością nie wolno pani ryzykować, Brucena przypomniała sobie rozwydrzonych awanturników na peronie. Nie dałaby majorowi satysfakcji informując go, że rzeczywiście ją wystraszyli. Nie potrafiła przestać też myśleć o porzuconym niemowlęciu.

- Teraz, oczywiście, chętnie będę pani towarzyszył do końca podróży, ale mam przeczucie, że zrobi pani kapitanowi sporą niespodziankę.

- Czy pan z nimi współpracuje?

- Tak.

- To dlaczego jest pan od niego wyższy rangą? Uśmiechnął się.

- Pani kuzyn jest w służbie cywilnej mianowany bezpośrednio przez generała-gubernatora, a będąc wyższym oficerem podlega mu znaczny obszar. Ja zaś dowodzę żołnierzami.

To było grube niedomówienie, co Brucena dopiero później odkryła, ale teraz uśmiechnęła się tylko, nie mając pojęcia o wadze jego specjalnej misji.

- Skoro pracuje pan z wujem, proszę mi opowiedzieć o thagach. Zainteresowałam się nimi, gdy trzy lata temu objął tę placówkę, a niełatwo uzyskać o nich informacje.

- Dlaczego to panią tak ciekawi? - spytał major.

- Interesuje mnie wszystko o Indiach - odparła. - Urodziłam się tutaj i chociaż byłam za mała, by cokolwiek zapamiętać, zawsze chciałam tu wrócić.

Major wyglądał na zdziwionego.

- Mój ojciec służył przez kilka lat nad północno-zachodnią granicą - wyjaśniła. - Opuściliśmy Indie, kiedy miałam rok. Potem wrócił tu na kilka lat, ale ja z matką zostałyśmy w Szkocji.

- I mimo to, ten daleki kraj tak panią pociąga?

- To dziwne - powiedziała po chwili - ale kiedy znalazłam się w Bombaju, poczułam, jakbym przyjechała do własnego domu.

Sądził, że mówiąc to, chciała zrobić na nim wrażenie.

Ale nie patrzyła teraz na niego, tylko na krajobrazy wsi, które mijali.

Wydawało się jej, że ta sucha, wyjałowiona ziemia, opuszczone małe wioski i kępy drzew porastające brzegi dołów wypełnionych wodą, do których powoli stapały bawoły, były widokami, które już kiedyś widziała. Nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego jej się tak zdawało.

Pytała mnie pani o thagów - zaczął major, ona natychmiast zwróciła na niego oczy.

- Mam nadzieję - ciągnął - że nie będzie pani Blitła z nimi do czynienia. Każdy, kto mieszka tutaj, powinien wiedzieć, że należy się mieć przed nimi na Możliwości.

Przypomniawszy sobie wydarzenia w Świątyni Kali w Bindhachal nad Gangesem.

Było to sanktuarium, do którego pod koniec pory deszczowej przybywali pielgrzymi z całych Indii, aby przebłagać bogów.

Szlak wypełniony był wozami ciągniętymi przez woły, grupami żebraków, zabłąkanymi krowami i bosymi pielgrzymami.

Woń kwiatów i kadzideł mieszała się z zapachem kurzu. Wyczuwało się odór śmierci.

Dzień i noc słyhać było przeraźliwe beczenie kóz, przeznaczonych na ofiarę, i krzyki dewotów, biczujących się, aby uzyskać błogosławieństwo bogów. Krew obficie spływała po schodach świątyni.

Dla Iaina Huntleya, krwawa bogini, małżonka Sziwy Niszczyciela, czarna, okrutna i naga, rozbijająca maczugą ludzkie czaszki, była symbolem tego wszystkiego, z czym walczył.

Z wysuniętym na wierzch językiem i zaszłymi krwią oczyma nawiedzała płonąca ziemię. Jej serce było symbolem terroru i śmierci. Thagowie czcili ją i wielbili.

Tu było ich święte miejsce, źródło braterstwa, które pozwalało im niezmiennie od setek lat terroryzować podróżnych.

Wyznawcy kultu mieli swój rytuał, obyczaje i hierarchię. Dusząc podróżnych, robili to w intencji Kali.

Zastanawiając się, jak można opowiedzieć o thagach młodej, niewinnej dziewczynie siedzącej naprzeciw niego, major przypomniał sobie, że tradycyjna polityka Wschodnio-indyjskiej Kompanii polegała na niemieszaniu się w obyczaje religijne Hindusów.

W rzeczywistości nie było chyba nikogo, kto nie zetknąłby się z opowieściami i legendami o thagach, i gorliwe misjonarki z Anglii, obecnie coraz rzadziej przybywające do Indii, były zatrwożone obyczajami tubylców, które pozostawały nie zmienione od wieków.

Anglicy mieli teraz energicznie zabrać się do ukrócenia tych najbardziej agresywnych obyczajów, utrwalonych tu od wieków. Ofiary z ludzi i dzieciobójstwo zostały zabronione tak samo jak sati, zwyczaj palenia wdów.

Należało coś zrobić także z Bindhachalem, straszliwą siedzibą tajemnego stowarzyszenia thagów.

Ich religia nie została jeszcze zbadana, o jej odmianach wiedzano niewiele, aż do chwili, kiedy to kapitan William Sleeman, z Armii Towarzystwa Bengalskiego, zainteresował się tym upiornym misterium.

Dowiedział się, że thagowie działali w całkowitej tajemnicy, ściśle przestrzegając rytuału.

Ich świętym celem było mordowanie podróżnych. Stosowali specjalną technikę zabijania: napadali od tyłu i kopiąc kolanem obezwładniali ofiarę, a następnie zarzucali pętlę z żółtej, jedwabnej przepaski i dusili.

Potem kroili ciało tak jak nakazywał rytuał, zakopywali je lub wrzucali do studni. Bezwartościowe przedmioty palili, a co cenniejsze zabierali ze sobą.

Po nieszczęsnym podróżniku nie pozostawał żaden ślad na miejscu zbrodni.

Tak jak w większości innych zwyczajów hinduskich, obyczaj thagów był przekazywany z pokolenia na pokolenie. Młodemu chłopcu stopniowo wdrażano jego obowiązki: najpierw był zwiadowcą, potem grabarzem, następnie asystującym zabójcą, aż wreszcie, gdy wykazywał prawdziwe okrucieństwo, stawał się wykwalifikowanym blurtote lub dusicielem - arystokratą pośród thagów.

To William Sleeman odkrył system i niezwykle rozległe skutki działalności tej grupy, która powiększała się na obszarze Indii z prędkością szerzącej się zarazy.

Swą główną kwaterę umieścił w Saugorze, szarym mieście nad ponurym jeziorem, w sercu krainy thagów i zorganizował kampanię przeciwko nim.

Iain Huntley przypomniał sobie teraz, że kilku starszych urzędników w służbie księżnej hinduskiej to doświadczeni thagowie, a sierżant musztrujący żołnierzy na dziedzińcu pałacu Jego Królewskiej Mości, władcy Hockaru, był także jednym z nich.

Niektórzy byli zaufanymi służącymi Europejczyków. Inni połowę życia spędzili w służbie armii Kompanii Wschodnio-indyjskiej, a jeszcze nie tak dawno jeden był znanym informatorem policji w sprawach przestępstw innego rodzaju.

Ze strachem myślało się, że człowiek, którego od lat darzy się zaufaniem, żołnierz wykonujący polecenia, albo własny służący, mogli także złożyć przysięgę thagom.

Dla thagów ich działalność była świętością. Wierzyli, że posiadają nadprzyrodzone moce.

Potajemnie współpracowali ze swym kuzynem, wywodzącym się ze świata zwierząt, tygrysem.

Jeden z zasłużonych thagów powiedział podczas składania zeznań:

- Ci, którzy uciekają tygrysom, wpadają w ręce thagów; ci, którzy uciekają thagom, są pożerani przez tygrysy!

Być może jednak tygrysy były mniej straszne!

Major Huntley widział, jak jeden z więźniów przyznał się do popełnienia 931 morderstw własnymi rękoma.

Inna grupa składała się aż z trzystu ludzi i szczyciła się taką liczbą zabójstw, jakiej nie byłby w stanie dokonać nikt, nawet w ciągu wielu lat.

Iain Huntley wiedział, że czas wspólnej pracy z Williamem Sleemanem był najbardziej niewiarygodny, mrozący krew w żyłach, a równocześnie najbardziej ekscytujący w jego życiu.

W jaki sposób miał o tym wszystkim opowiedzieć dziewczynie siedzącej naprzeciwko, która przyjechała prosto z Anglii i nie miała żadnej wiedzy o Indiach.

Jakby przeczuwając, o czym rozmyślał, Brucena powiedziała:

- Chciałabym to zrozumieć. Zdaje sobie w pełni sprawę, że nie jest to łatwe, ale od czegoś muszę zacząć.

- Żałuję, że po przyjeździe zaczęła pani od thagów. Uśmiechnęła się. - W pewnym sensie podróż stała się przez to bardziej interesująca. Tyle ludzi wychwala Taj Mahal i oczywiście wspaniała administrację Wschodnioindyjskiej Kompanii.

Iain Huntley dosłyszał w jej głosie cień sarkazmu i spojrzał na nią ostro.

- Nasza administracja sprawdza się w wielu dziedzinach, lecz w kraju tak rozległym i tak gęsto zaludnionym jak Indie, zawsze zostaje coś do zrobienia.

- Absolutnie w to nie wątpię - powiedziała Brucena - jednak wydaje mi się, że jest zarozumiałością z naszej strony usiłowanie ulepszania ludzi, których cywilizacja sięga dużo dalej w głąb wieków niż nasza własna. Kto daje nam prawo, by osądzać, czy ich wierzenia są złe czy dobre?

Spojrzała na nią zdumiony.

To nie był stereotypowy pogląd przeciętnej młodej kobiety, która przyjeżdża do Indii.

Większość kobiet interesowała tylko plotki na przyjęciach organizowanych w budynku administracji, a także koktajle, bale lub gra w polo.

Inne były gorliwymi misjonarkami przeróżnych sekt wyznaniowych, przeświadczonymi o tym, że cokolwiek Hindusi robiliby, one mają to zwalczać,

tylko dlatego, że nie zgadzało się to z ich własnymi, wpojonymi pojęciami dobra i zła.

Iain Huntley, jeśli naprawdę czegoś nie lubił, to agresji ewangelików w połączeniu z żarem „czystej moralności”. Przekonał się, że wyznawcy tych idei w gruncie rzeczy byli i nudni, i ciemni.

Często przychodziło mu na myśl, że woli przesady barbarzyńskiego kraju, palenie wdów i dzieciobójstwo od religijnej bigoterii milczkowatych, ograniczonych zapaleńców, którzy nawet nie lubili pięknego krajobrazu Indii, ponieważ oddziaływał na nich zbyt kusząco.

- Sądzę, że pierwszą rzeczą, jaką musi pani zrobić - odezwał się - to spróbować zrozumieć indywidualizm Hindusów, a nie oceniać ich w masie. Każdy z nich należy do innej kasty, wyznaje odmienny pogląd i przestrzega dobrowolnie przyjętych zasad, których nie jest w stanie zmienić nawet najbardziej sprawna administracja.

- Tak postępując możemy je tylko zniszczyć - odparła Brucena jakby do siebie. - Właśnie to jest to, co chciałabym zrozumieć i czego dowiedzieć się o Indiach.

- Dlaczego?

Pytanie było zadane wprost i wiedziała, że major jest ciekawy przyczyny jej zainteresowań.

- Sądzę, że odpowiedzią na to - odparła po chwili - jest przeświadczenie, że im lepiej poznam ten kraj, tym więcej otrzymam od niego w zamian.

Iain Huntley znowu był zdumiony. Kiedy zastanawiał się nad odpowiedzią, Brucena odezwała się:

- Powiedział pan, że Hindusi różnili się między sobą. Przyczyną tego jest kastowość, jak zrozumiałam. Jednak niewątpliwie wierzą oni w jedno.

- W co mianowicie?

- W Karmę. Wszystkie książki, które przeczytałam, wspominają o Karmie jako o czymś panującym, wszechobecnym, czymś, do czego prawie każdy Hinduś odnosi się nie tylko w sposób rozumowy, ale także poprzez sferę duchową.

Major przypatrywał się jej przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Ma pani niewątpliwie rację, panno Nairn. Jestem po prostu zdumiony, że sama doszła pani do takich wniosków, lub przekazano je pani w tak prostej formie.

- Czytałam na ten temat, ale mam wrażenie, że zawsze o tym wiedziałam - odparła Brucena - ponieważ sama w to wierzę.

Rozdział drugi

Milczeli. Major nagle zdał sobie sprawę, że nie mógłby zniszczyć idealnego wyobrażenia i szacunku, jakim darzyła Indie dziewczyna, opowiadając jej potworne i odrażające szczegóły o thagach.

Ponieważ czuł się lekko zakłopotany jej wyznaniem, odezwał się trochę ostrzejszym głosem niż zamierzał:

- Mam nadzieję, panno Nairn, że pani zapatrywania na Indie nie zmienia się w czasie pobytu w Saugorze.

- Jestem pewna, że będzie on bardzo interesujący bez względu na to, co tam zastanę - odparła. - Ale nie mogę się doczekać od pana opowieści o thagach.

- Bo właśnie nie mam zamiaru pani o nich opowiadać. Sądzę też, że pani wuj wyznaje ten sam pogląd co ja: im mniej się wie, tym lepiej!

Być może sposób, w jaki odpowiedział, lub fakt, że czuła się zawiedziona nie usłyszawszy wiadomości, których oczekiwała, sprawił, że jej emocje rosły.

Pomyślała, że odkąd spotkała tego mężczyznę, był on stale szorstki i nieprzystępny. Wciąż czuła, że mogłaby ocalić niemowlę, w czym jej przeszkodził, wpychając z powrotem do wagonu.

Był przystojny, jeśli ktoś gustował w typowym wyglądzie Anglika, ale miał też w sobie coś bezwzględnie i odpychającego.

Nieomal zrobiło jej się żal thagów, bo oto widziała jednego z tych, którzy ich wyłapywali i oddawali wymiarowi sprawiedliwości.

- Jest dla mnie oczywiste, majorze Huntley, że jeśli brać pod uwagę pana opinię, nie należę do mile widzianych gości w Saugorze - powiedziała.

- Pani nie jest moim gościem - odrzekł. - To kapitan Sleeman z żoną będą panią u siebie przyjmować.

Brucenie przyszło na myśl, że jeśli oni mają ten sam punkt widzenia, co Huntley, będzie musiała znaleźć sobie inne miejsce pobytu, a to może być bardzo trudne.

Obserwując przez okno charakterystyczne widoki Indii, była całkowicie przekonana, że pragnie tu pozostać i odkrywać kraj swego urodzenia razem z jego mieszkańcami.

W jaki sposób mogła wytłumaczyć mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko, który był do niej wrogo usposobiony, że Indie darzy uczuciem, którego nigdy nie miał dla Szkocji?

Czuła jakieś ciepło, coś, czego doznała podróżując po Bombaju w świetle dnia i w ciemności nocy. Nie potrafiła jednak ująć tego w słowa.

- Słyszę to - pomyślała w duchu. Uświadomiła sobie, że za bardzo odsłoniła swe uczucia przed majorem, zwłaszcza że on nie potrafił ich zrozumieć.

Jechali w milczeniu. Siedziała odwrócona, więc major widział tylko profil panny Nairn. Nie sposób było nie podziwiać jej małego, prostego noska, miękko wykrojonych ust i małego, wystającego podbródka.

- Powinna wrócić do Anglii, gdzie jest jej miejsce - pomyślał z wściekłością. Potem powiedział sobie, że niepotrzebnie robi przedwczesny alarm.

Zamieszka u Sleemanów i niedługo pochłonie ją, może nieco skromniejsze niż gdzie indziej, życie towarzyskie Saugoru.

Tak jak inne dziewczęta w całych Indiach, będzie zapraszana na partie tenisa i niewątpliwie na różne przyjęcia, na których, jeśli wystarczy męskiego towarzystwa, będzie mogła potańczyć.

- Nic złego się jej nie stanie, jeśli będzie przebywać w tym środowisku - pomyślał.

Dręczyło go jednak podejrzenie, że Brucenie to nie wystarczy.

- Spodziewam się - odezwał się zamyślony - że kapitan będzie mógł zorganizować pani pobyt u swoich przyjaciół w innych częściach Indii, gdzie można zobaczyć o wiele ciekawsze krajobrazy i dużo wspanialszych świątyń, czego nie mogę pani obiecać w Saugorze.

- Czy wciąż pan stara się mnie pozbyć? - spytała z rozbawieniem. - Zdaje się pan zapominać, że przyjechałam tu do pracy.

- W charakterze niańki? - spytał. - Nie wyobrażam sobie pani w tej roli.

- Tym niemniej jest to powód mojego przyjazdu i z całą pewnością poradzę sobie ze wszystkimi obowiązkami, które będą do mnie należały.

Przypomniała sobie, co napisała do niej po francusku Amelia Sleeman.

Brucena dowiedziała się, że ponieważ mąż Amelii świetnie władał tym językiem, nigdy nie nauczyła się dobrze angielskiego.

Nie chcę napuszonej, sztywnej, zarozumiałej niańki, która będzie pogardzać zarówno mną, jak i moimi metodami. Chcę po prostu młodą Szkotkę lub Angielkę, która mi pomoże w opiece nad dzieckiem i której można ufać, że nie będzie mu podawać na uspokojenie opium ani innych diabelskich trunków, których używają miejscowe Ayah, kiedy nikt ich nie ma na oku.

Wydawało się, że prośba ta jest łatwa do spełnienia, ale teraz Brucena zastanawiała się, czy przypadkiem kuzynka Amelia nie miała na uwadze czegoś bardziej ponurego od leniwej Ayah, która miała bawić jej dziecko.

Bez wątplenia thagowie budzili odrazę w wuju Williamie, skoro ich tropił i uniemożliwiał uprawianie, w ich przekonaniu, świętego rzemiosła.

Cóż mogło być lepszą zemstą niż uduszenie jego dziecka lub nawet uprowadzenie go i wychowanie w kulcie, który usilnie starał się zniszczyć?

W jednej z książek Brucena przeczytała, że kiedy thagowie mordowali grupę podróżnych i zacierali po nich wszelkie ślady, czasami, oprócz cennych przedmiotów, zabierali ze sobą wyjątkowo ładne dziecko.

Robili to, aby stało się jednym z nich lub, co budziło jeszcze większą grozę, poświęcali je bogini Kali.

Brucena wstrząsnął dreszcz na myśl, że mogłoby to spotkać dziecko Amelii. Powiedziała sobie, że za bardzo ponosi ją wyobraźnia.

Przypuszczalnie thagowie nie byli nawet w połowie tak źli, jak jej się z początku wydawało.

Tajemnica, jaką zrobił z tego major Huntley, tylko wzmagala chęć, by dowiedzieć się więcej, a nie, jak najwyraźniej sobie życzył, by pozostać w swojej beztroskiej niewiedzy.

- To pech - pomyślała - trafiłam, i to na samym początku podróży po Indiach, na mężczyznę, który nie ma ochoty być dla mnie miły. Nie tylko uniemożliwia mi dowiedzenie się o tym, co mnie interesuje, ale chciałby się mnie stąd pozbyć.

Postanowiła, że będzie z nim walczyć z całych sił.

Była pewna, że spróbuje przekonać jej wuja co do tego, że nie tylko jest nieodpowiednią osobą do pracy, o którą się ubiega, lecz także może spotęgować ich zagrożenie, podczas gdy i tak już byli wystarczająco narażeni.

- Jeśli kuzynka Amelia jest w stanie to wszystko znieść - ja tym bardziej - pomyślała.

Miała jednak pewne wątpliwości i kiedy pociąg sunął w stronę Saugoru, narastało w niej uczucie antypatii do nowo poznanego mężczyzny.

* * *

C'est impossible! Nie mogę uwierzyć, że naprawdę do nas przyjechałaś! - powiedziała Amelia Sleeman, kiedy jedli wieczorem kolację przy świecach.

Rozpostarty nad głowami wachlarz poruszał płomykami to w dół to w górę, co dawało złudzenie, że znajdowali się na pokładzie statku.

Brucena uśmiechnęła się mimowolnie i odrzekła:

- Bałam się, że będziesz zła na mnie, że przyjechałam.

- Oczywiście, że nie - odparła pani Sleeman zabawnie akcentując angielskie słowa. - Ale, kiedy otrzymaliśmy twój telegram, nawet nie śniło nam się mon mari et moi, że zamiast przysłać Szkotkę, ty sama się u nas zjawisz.

- Wszystkie dziewczęta miały lęk przed podróżą do tego dzikiego kraju - odparła Brucena - ale, mówiąc szczerze, cieszę się, że uciekłam z mego zamku. Odkąd papa się ożenił, atmosfera w domu bardzo się popsuła.

- Właśnie to powiedziałam mężowi - odparła pani Sleeman z triumfem. - Mówiłam: Cette pauvre petite przeżywa z pewnością ciężkie chwile z belle mere, która nigdy nie będzie tak ładna jak ona!

- No więc teraz jesteś tutaj i to jest najważniejsze - wtrącił wuj William, zanim Brucena zdążyła odpowiedzieć. - Cieszy mnie też, że Amelia będzie miała towarzyszkę. Dotkliwie odczuwa samotność, kiedy długo nie wracam.

- To prawda. Tęskniłabym za tobą wszędzie, mon cher, w każdym miejscu, ale tutaj jest mi jeszcze ciężiej, ponieważ nigdzie nie ruszam się bez eskorty wojskowej. Jestem przekonana, że Brucenie także nie będzie to odpowiadać.

- Przywyknie do tego - odpowiedział z uśmiechem. - I żeby było wszystko jasne, Bruceno, nie wolno ci opuszczać ogrodu bez powiadomienia o tym dowódcy ttipajów. Jeśli gdziekolwiek zechcesz się oddalić, on ma obowiązek wysłania za tobą żołnierzy.

- Waśnie! - zareagowała natychmiast Amelia. - To jest to samo, co być jednym z twoich więźniów, a ja czasami czuję, że jest moi jestem zamknięta, a nie oni.

- Uważam, że zupełnie inaczej odebrałabyś więzienie w Jubbulpore i Saugor niż komfort, którym cieszysz się tutaj - powiedział oschle wuj, - Przynajmniej nikt cię tu nie piętnuje, moja droga.

Jego żona roześmiała się.

- Przypuszczam, że powinnam być wdzięczna za te drobne łaski! - wykrzyknęła; potem widząc, że Brucena nie rozumie, wyjaśniła:

- Jedną z kar dla skazanego thaga jest znaczenie go piętnem na plecach, ramionach, a nawet na twarzy. Oni tego nienawidzą.

- Nie dziwię się. Kara wydaje się bardzo surowa - zauważyła Brucena.

- Nic nie jest zbyt surowe dla człowieka, który morduje dla przyjemności - odparł wuj stanowczo.

Na chwilę zapadła cisza. Wreszcie Brucena odezwała się:

- Kiedy będziesz miał czas, wuju Williamie, chciałabym, abyś więcej opowiedział mi o thagach. Niewiele się na ich temat pisze w książkach o Indiach, a zorientowałam się, że to jedna z najstarszych tajemnic tego kraju.

- To prawda - zgodził się - ale nie chciałbym rozmawiać o tym w obecności Amelii. W jej stanie nie powinna się przemęczać fizycznie ani przejmować sprawami, które nie należą do przyjemnych.

- Tak, oczywiście. Rozumiem - odpowiedziała Brucena łagodnie.

Dowiedziała się już, że kuzynka spodziewa się rozwiązania w przyszłym roku. W siódmym miesiącu zaokrągliła się na tyle, że utraciła typowy dla siebie wdzięczny styl poruszania się.

Była córką plantatora cukru z Mauritiusa. Małżeństwo dwojga ludzi o tak odmiennych charakterach dzieliła różnica wieku dwudziestu jeden lat; mogło więc ono wydawać się nieprawdopodobne. A jednak wystarczyło tylko zobaczyć Sleemanów razem, by stwierdzić, że są ze sobą niezwykle szczęśliwi.

Ponieważ Francuzki mają umiejętność dostosowywania się, Amelia była w rzeczywistości odpowiednią żoną dla Williama.

- Bedę z nimi szczęśliwa - pomyślała Brucena, kładąc się wieczorem spać w małym pokoiku, znajdującym się obok urządzonego już pokoju dziecięcego, w którym kiedyś miała nocować niania.

Z dworu dochodziły ją pohukiwania sowy, dźwięk cykad, trzepot skrzydeł nietoperza, szczekanie bezpańskich psów, tupot nocnych zwierząt w zaroślach i z daleka - wycie szakali w stadzie, odgłos, o którym wiedziała, że często słyszy się w całych Indiach.

Ten nowy, nieznany, a zarazem stary świat niezwykle ją intrygował. Wiedziała, że właśnie stąd pochodzi i tu tkwiły jej korzenie.

- Jestem taka szczęśliwa, że do ciebie wróciłam - wyszeptała w głębi duszy.

Po trzech dniach pobytu i przystosowywania się do nowego otoczenia, Brucena zdała sobie sprawę, że ani razu nie spotkała majora Huntleya.

Po przyjeździe, gdy wprowadził ją; do obszernego, białego bungalowu, robił wrażenie człowieka niepewnego, czy sprawia miłą czy przykrą niespodziankę.

Kiedy zatrzymali się na stacji w Saugorze, a sierżant komenderujący oddziałem sipajów zasalutował, domyśliła się, że na majora czeka dużo obowiązków.

Poirytowana obecnością towarzysza podróży nie jadała sobie trudu, aby mu powiedzieć, że podczas długich tygodni na statku uczyła się języka urdu, a po kilku pierwszych dniach poznała nauczyciela płynącego drugą klasą, który za niewielką opłatą zaczął udzielać jej lekcji.

Urzędnik, który to zaaranżował, zapewniał, że nauczyciel miał wysokie kwalifikacje. Brucena sama uznała go nie tylko za fachowca, lecz także za inteligentnego człowieka.

Od razu z zapałem zabrała się do pracy. Postanowiła bowiem, że nie może przybyć do Indii znając tylko i wyłącznie angielski.

Ku jej zadowoleniu, podczas długiej podróży opowiadał jej dużo o swoim kraju i zwyczajach jego mieszkańców.

Nawet starał się wytłumaczyć jej system kastowy, a co ważniejsze, objaśniał różnorodne religie od buddyzmu po hinduizm, nie pomijając dżainizmu i muzułmanizmu oraz setek dziwnych odmian sekt, z których każda miała swój własny rytuał, tabu i święty przybytek, znajdujący się gdzieś w głębi rozległego subkontynentu.

Jakiś wewnętrzny głos ostrzegł ją, by nie poruszać tematu thagów i nie mówić swemu nauczycielowi, że miała zatrzymać się u ich największego wroga, kapitana Williama Sleemana.

Przypuszczała, że dowiedziawszy się dokąd zmierza, nauczyciel może stracić ochotę do mówienia o tym, o czym chciała usłyszeć.

Nie potrafiła wytłumaczyć sobie skąd to przecucie, lecz życie nauczyło ją kierować się własnym instynktem, który wówczas podpowiedział jej, by nie mówić o sobie wszystkiego.

Chociaż wiedziała, że ma przed sobą jeszcze dużo pracy związanej z nauką języka, to jednak zrozumiała już co na peronie major Huntley powiedział do sierżanta.

Mówił w języku urdu tak cicho, że z trudem dosłyszała:

- Są jakieś kłopoty?

Niewielkie, majorze sahibie - odpowiedział sierżant. - Sądzę, że dziś w nocy powinniśmy odwiedzić...

Nie dosłyszała ostatniego słowa, ale zrozumiała resztę i dlatego rozbawiło ją, gdy major odwrócił się i spojrzał na nią uśmiechając się zwodniczo.

- Poleciałem sierżantowi, by wystarał się o powóz dla pani. Pojedziemy nim do bungalowu kapitana. Podróż w eskorcie oddziału kawalerii z pewnością sprawi na pani wrażenie!

Brucena nie potrafiła od razu zachwycić się Saugorcem, chociaż wszystko, co wiązało się z Indiami, posiadało dla niej swoisty urok i piękno, jakiego do tej pory nigdzie nie spotkała.

Miasto leżało nad samym brzegiem ogromnego jeziora. Naprzeciw, w oddali rysowała się duża, ponura twierdza z oblankowanymi murami. Jak powiedziano jej, było tam więzienie.

Bungalow Sleemanów znajdował się za miastem. Choć obszerny i raczej prosty, był czarujący. W ogrodzie rosły piękne, kolorowe kwiaty, tworząc jakby wspaniałe powitalny bukiet.

Wiedziała od razu, że kuzyni ucieszą się na jej widok i nie odeślą zaraz do domu.

Wyczuła nawet, że pomimo sprawionej niespodzianki niekłamana serdeczność, z jaką widziana po raz pierwszy Amelia ucałowała ją na powitanie, była w gruncie rzeczy prztyczkiem w nos dla majora Huntleya.

- On może mnie tu nie chceć - pomyślała - ale kuzyni mnie chcą, a tylko to się liczy.

Cieszyła ją też świadomość, że z nim wygrała i liczyła na dalsze słowne utarczki, pomimo iż nie było ku temu wielu okazji. Narastało w niej uczucie, którego nie potrafiła jeszcze pojąć.

Z ciekawości zapytała o majora panią Sleeman.

- Dlaczego go tu nie ma? Dawał mi do zrozumienia, że razem z wujem są bliskimi współpracownikami.

- Bo tak jest! - odparła ciotka. - I William bardzo go lubi. Schwycił dużo więcej thagów niż którykolwiek z oficerów przysłanych tu przez dowództwo pułku. Praktycznie niektórzy z nich są zupełnie nieskuteczni.

- Nie dziwię się, że major Huntley lubi być inkwizytorem - powiedziała oschle Brucena.

- Jest bardzo dzielny - odparła ciotka - i chociaż żaden z pomocników mojego męża nie przyznałby się, jestem przekonana, że każdy z nich się boi. Thagowie są bardzo niebezpieczni. Na szczęście jest ich już coraz mniej.

- Właśnie dzięki wujowi Williamowi?

- Naturalnie. On jest wspaniały! - odpowiedziała ciotka z entuzjazmem. - Za swój główny cel postawił sobie nie tylko unicestwienie, ale także skompromitowanie tej sekty.

Westchnęła lekko.

- William twierdzi, że kiedy człowiek walczy dla idei, staje się o wiele silniejszy i groźniejszy niż wtedy, gdy walczy z obowiązku lub dla osobistych ambicji.

- Często słyszałam taką opinię - powiedziała Brucena.

- To jest prawda - ciągnęła Amelia. - William stara się też przekonać thagów, że nasz Bóg jest potężniejszy od ich bogini.

- Czy można tego dokonać? - zainteresowała się Brucena.

- W zeszłym tygodniu powtórzył mi, co powiedział do niego jeden z bandytów: „Mówi pan, że wasz Bóg jest wszechobecny i że Kali wycofała swą opiekę z powodu naszych grzechów. Ze smutkiem musimy zaprzestać oddawania jej czci”.

Po tej rozmowie Brucena miała ochotę dłużej podyskutować z wujem, ale zwykle wracał on do domu wieczorem zupełnie wyczerpany.

Wiedziała, że przyczyną tego nie były tylko całodniowe wyprawy przeciwko thagom, lecz także trudne rozmowy z nimi. Walczył zarówno bronią, jak i argumentacją i odpoczywając w domu nie miał ochoty poruszać więcej tego tematu.

Przez następne kilka dni Brucenie i jej ciotce nie wolno było zbliżyć się do miasta, ale nie wyjaśniono im powodu tego zakazu.

Dopiero dzięki zasłyszczonym informacjom i po rozmowie z dowódcą sipajów mówiącym biegle po angielsku, Brucena dowiedziała się, że zostało straconych sześciu thagów, a wśród nich miejscowy bohater, co było powodem dodatkowych kłopotów.

Jednemu z jego popleczników, którego nie można było jeszcze aresztować pod zarzutem morderstwa, udało się namówić do buntu i protestu Hindusów z innych kast.

W Indiach zamieszki polityczne nie należały do rzadkości i tylko ostre metody represji mogły stłumić wystąpienia buntowników.

Brucena dowiedziała się, że po stłumieniu takiej rebelii, ponure więzienie nad jeziorem zapełniało się po brzegi, a innych skazańców umieszczano w Jubbulpore.

Kiedy najmniej się tego spodziewała, siedząc samotnie na werandzie, Brucena dosłyszała odgłosy zbliżających się koni od strony ogrodu i po chwili zobaczyła przed sobą majora Huntleya.

Był podenerwowany i wyglądał na zmęczonego, ale przywitał ją grzecznie i spytał:

- Zdaje się, że pan nadinspektor jest nieobecny. Kiedy spodziewa się pani jego powrotu?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Kuzynka przed pójściem na spoczynek zastanawiała się, dlaczego nie powiadomił jej dokładnie, kiedy wraca.

Zmarszczył brwi, więc spytała:

- Czy stało się coś złego?

- Nie, nie. Nic się nie stało - odpowiedział tak prędko, że domyśliła się, iż kłamie.

- Może napije się pan czegoś? - spytała.

- Dziękuję, chętnie - odparł.

Klasnęła w dłonie, by wezwać służącego, jak ją nauczono. Pojawił się starszy mężczyzna około sześćdziesiątki i major poprosił go o szklanekę soku cytrynowego.

Gdy usiadł na krześle obok Bruceny, zmarszczka na jego czole zniknęła.

- Jak się pani bawi? - spytał - Czy Indie jeszcze nie rozczarowały pani?

- Każdy dzień jest dla mnie coraz bardziej ekscytujący - odparła. - Żałuję bardzo, że mam tyle zakazów. Nie mogę przez to pójść tam, gdzie mam ochotę i zobaczyć wszystko, co ranie ciekawi. Prawdę mówiąc jestem rozczarowana, że pańskie wysiłki zmierzające do utrzymania spokoju są tak mało skuteczne.

Miała zamiar go rozdrażnić i sądziła, że zaprzeczy jej insynuacjom. To go jednakże rozbawiło.

- Moim zdaniem po męczącej podróży najlepszy jest dla pani dłuższy wypoczynek. Proszę mi wierzyć, że sytuacja zaczyna się stabilizować i wkrótce będzie pani mogła pojechać, dokąd tylko zechce.

- Oczywiście z eskortą - dokończyła.

- Oczywiście - przytaknął.

Spojrzała w stronę jeziora, a potem na wyschniętą połąć ziemi sięgającą aż po horyzont.

- Czy to miejsce jest według pana naprawdę aż tak niebezpieczne? Mam wrażenie, że bawi pana mój niepokój wynikający z niewiedzy, ponieważ wspomniał pan tylko o jakimś horrorze zamiast wyjaśnić przyczynę moich okropnych domysłów.

- Przecież nie interesuje się pani horrorami. Poza tym będąc jeszcze tak młoda, powinna pani być zajęta zupełnie czym innym - na przykład romansem.

Mówiąc to spoglądał na książkę leżącą obok niej na wodzeniu.

- Jak mi wiadomo, obecnie modną lekturą młodych dum w Simla są „Wichrowe Wzgórza”. Czy to właśnie pani czyta?

Wzjął książkę i zobaczył, że napisana była w urdu.

- Trudno mi uwierzyć, że to może panią interesować.

Przewrotnie, z jakiejś nie zrozumiałej dla siebie przyczyny postanowiła nie mówić mu prawdy.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Sądzę, że wuj William ją tu zostawił. Niestety, dom ten posiada znikomą bibliotekę.

- Z przyjemnością każę przysłać z Jubbulpore wszystko, co panią ciekawi.

Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu. Poza tym, jeśli tak się stanie będzie musiał pan znów tu przyjechać, zamiast ignorować mnie, co czyni pan świadomie od chwili mojego przyjazdu.

- Wiec, uważa mnie pani za swojego wroga - odparł z nutą rozbawienia w głosie.

- Czemuż by nie? - zripostowała. - Nie ukrywał pan swych odczuć już podczas podróży, a potem nawet nie zapytał pan o moje samopoczucie.

Roześmiał się.

- Z pewnością to wielkie uchybienie z mojej strony - powiedział. - Proszę zatem przyjąć przeprosiny. Byłem niezwykle zajęty.

- Tropieniem thagów - odparła kąśliwie - tak jakby byli oni lisami do upolowania przez czerwono-skórych łowców i sforę psów.

- Dokładnie tak! To świetne porównanie. Na nieszczęście w tym przypadku było za dużo lisów, a za mało ogarów.

Właśnie zaczęła zastanawiać się, jak mu dociąć, gdy wielkimi krokami na werandę wszedł William Sleeman.

- Tu cię znalazłem! - wykrzyknął. - Powiedziano mi, że przyjechałeś. Dowiedziałem się, dokąd zbiegł ten mężczyzna.

- Naprawdę? - wykrzyknął Iain Huntley. - Dokąd?!

- Nie domyślasz się? Oczywiście do Gwalior.

- Przypuszczałem, że tam mógł się skryć - zauważył major.

- Mogliśmy się tego spodziewać - odpowiedział wuj z goryczą. - To miejsce stało się dla nich bezpiecznym schronieniem. Morderca może czuć się tam tak swobodnie jak Anglik w oberży.

Brucena słuchała rozmowy z zapartym tchem.

Wiedziała, że Gwalior było przyległą prowincję i że angielski rezydent, mianowany przez generała-gubernatora, spełniał rolę doradcy maharadży. Podobnie było na wszystkich dworach niezależnie panujących książąt.

- Nie możemy tego tolerować, ale nie bardzo wiem, jak temu zaradzić - powiedział prawie zrozpaczony wuj.

- Musi być jakieś rozwiązanie - odparł major z przekonaniem.

- Bardzo bym chciał, ale odkąd tu przyjechałem, pan Cavendish sprzeciwia mi się stanowczo. Uczynił moją pracę bardziej uciążliwą, niż jest ona w istocie.

- To haniebne! - wykrzyknął major.

- Czy mam rozumieć, że rezydent jest Anglikiem, który faktycznie aprobeuje thagów? - spytała Brucena.

Jej głos zaskoczył mężczyznę i miała wrażenie, że całkiem zapomnieli o jej obecności.

- On by się do tego nie przyznał - odpowiedział po chwili wuj. - Ale hamując śledztwo i zakazując moim ludziom przedostania się do prowincji Gwalior, zrobił z niej miejsce azylu, gdzie może ukryć się każdy thag, jeśli się go nęka.

- Ta sytuacja wydaje się niewiarygodna - powiedziała Brucena. - Przecież generał-gubernator wyznaczył wuja do represjonowania ich.

- To prawda, ale do diabła z Gwaliorem! Mam zamiar zniszczyć najgorszą, najstraszniejszą tajną sektę w historii ludzkości! - odpowiedział z przejęciem, a jego niebieskie oczy zalśniły jak u wizjonera.

* * *

Później, wieczorem zasiedli do stołu. Gościli na kolacji nie tylko majora Huntleya, lecz także pół tuzina sąsiadów.

Trudno było uwierzyć, myślała Brucena, że na zewnątrz tego eleganckiego pokoju rozbrzmiewającego Odgłosami rozmów i śmiechem gości, który unosił się w ciepłym, ciężkim powietrzu, istnieli ludzie gotowi mordować niewinnych, chełpiący się zabijaniem niczego złego nie podejrzewających podróżnych.

Nie był to stosowny temat, który mogła poruszać przy kolacji, więc słuchała miejscowych plotek i opowieści o nużącej i głupiej służbie hinduskiej.

Pokazywano jej różne ozdóbki i świecidełka z miejscowych bazarów i piękne materiały wykorzystywane zarówno przez Angielki na szarfy, jak i Hinduski na sari.

Było to wszystko bardzo kobiece i dekoracyjne. Wiedziała jednak, że obecni przy stole młodzi mężczyźni patrzyli na nią z iskrą w oczach, a ci starsi dogadywali Williamowi Sleemanowi, że przedstawił im atrakcyjnego gościa bez wcześniejszego uprzedzenia, że będzie on tak piękny.

To wszystko razem było pospolite i banalne, a jednak kiedy poszła spać do swojego pokoju, stanęła przy oknie i poczuła, że stanowiło to część zagadkowych, tajemniczych Indii, które ją oczarowały.

Czuła też, że wiedza, której łaknęła, wszystko co chciała poznać, znajdowało się gdzieś na zewnątrz i było dla niej wciąż niedostępne.

Kryło się za tysiącami lat tradycji, w zawitych obyczajach i rytuałach, które dla Europejczyka nie mogły być zrozumiałe.

A poza tym, w umysłach i sercach Hindusów istniała tak głęboko zakorzeniona tajemniczość, że woleliby oni raczej umrzeć, niż wyjawić światu swoje świętości.

* * *

Brucena spacerowała po ogrodzie mijając małe ukwiecone trawniki, które nie podlewane co godzina z pewnością wyschłyby w upale dnia. Wiedziała, że od lat każdy właściciel bungalowu starannie je pielęgnował, by nie zniknęły w gęstwinie chwastów.

Dziki kwiaty były piękne: na każdej ścianie domku pięła się gęsto bougainvillea - tropikalny pnącz o barwnych liściach, a purpurowe witki okwiecone białymi płatkami oplatały dokoła pnie drzew.

Ogrodnicy staczali nie kończące się bitwy z krzewami, wszędzie wdzierającymi się swoimi łodygami niczym ośmiornice.

To niewymowne piękno sprawiało, że czuła wokół niesłyszalną pieśń, która stawała się częścią brzasku.

W południe było gorąco, mimo iż kończył się październik. Wuj poradził jej, by wstawiała o jak najwcześniejszej porze, gdy powietrze nie było jeszcze rozgrzane, a ziemia po nocy wilgotna.

Od czasu do czasu zabierał ją na konną przejażdżkę, po której wracali na śniadanie. Tego jednak ranka musiał pojechać do miasta, a ona postanowiła przespacerować się wkoło domu. Wzięła ze sobą parasolkę, która mogła się przydać, kiedy słońce mocniej przygrzeje. To otoczenie ma w sobie jakąś magię, pomyślała. Nie potrafiła spoglądać na kwiaty i krajobraz bez przeświadczenia, że wszystko kryło w sobie pewne przesłanie, którego jeszcze nie umiała ostatecznie zgłębić.

Doszła do krańca wypielegnowanego ogródka i spojrzała ponad żywopłot z hibiskusa w stronę oddalonego zagajnika na długą, zamgloną drogę biegnącą przez piaszczyste i spragnione wody połączonej ziemi.

Ogarnęło ją wrażenie, że gdyby szła na wprost tą drogą, odkryłaby coś, czego szuka, mimo iż teraz nie była pewna, co to mogło być.

Stała tak, nieruchomo zapatrzona w ten obraz, jakby symbolizował to wrażenie, które powinna pojąć, ale teraz jego znaczenie umykało jej.

Wtem dosłyszała jakiś dźwięk. Odwróciła się w tę stronę i ujrzała grupę ludzi koczujących w cieniu sękatych drzew.

Jasny odcień kobiecych sari odcinał się wyraziście na tle ziemi, z której nie wyrosłoby nic, gdyby nie deszczowa pora. Kiedy ludzie robili pakunki z rzeczy służących im przez noc do spania, zauważyła na nadgarstkach ich dłoni bransolety, które mieniły się w świetle poranka.

Dostrzegła urodę kobiet posiadających wdzięk godny pozazdroszczenia. Wiedziała też, że ich nieomal boski sposób, z jakim się poruszały, był rezultatem wieloletniego noszenia na głowie dzbanów z wodą.

Mężczyźni pilnowali małych, laskonogich koni i starego, spracowanego osła.

Była to spora grupa ludzi. Towarzyszące im dzieci bawiły się radośnie, jedno kawałkiem drzewa, inne kolorową szmatką dmuchając w nią, by ulatywała w przestrzeń wypełnioną nieruchomym powietrzem.

Od czasu przyjazdu do Indii, Brucena pragnęła namalować śliczne, hinduskie dzieci.

Nigdy nie przypuszczała, że tak małe istotki mogą być doskonałe pod każdym względem.

Ich duże oczy w drobnej twarzy potęgowały wyraz bezradności dziecka. Widok ten wzruszał ją i nieuchronnie przypominał niemowlę, którego nie była w stanie uratować przed wichrzycielami na peronie.

Kiedy się im tak przyglądała, mały, może pięcioletni chłopczyk odłączył od reszty i podbiegł do niej.

Trzymał w reku kwiatek i zbliżając się do Bruceny uniósł go w górę. Uśmiech na jego buzi wzbudził w niej pragnienie, by wziąć go na ręce.

Przyjęła kwiatek.

- Dziękuję ci - powiedziała w urdu. - Dziękuję ci bardzo.

Zastanawiała się, czy ma coś w zamian dla niego. Odruchowo włożyła rękę do kieszeni sukni i już chciała oddać mu swoją chusteczkę do nosa, gdy wyczuła w palcach miękki, delikatny kłębek jedwabiu, który podniosła z podłogi werandy schodząc do ogrodu.

Należał do Amelii haftującej różowo-niebieską derkę dla dziecka.

- Różowo-niebieska? - spytała wtedy, gdy to zobaczyła.

- Wszystko mi jedno czy będzie dziewczynka czy chłopiec - dostała odpowiedź. - Dlatego zjednuję bogów, by mi uwierzyli, że nie stanowi to dla mnie żadnej różnicy.

Rozbawiło to Brucenę.

- Jestem pewna, że wuj William, tak jak każdy mężczyzna, chciałby mieć syna.

Nie potrafiła opanować lekkiego drżenia w głosie, gdy przypomniała sobie, ile cierpień przeszła w życiu, ponieważ była dziewczyną, a jej ojciec tak żarliwie pragnął mieć potomka płci męskiej.

- William mówi, że jeśli dziewczynka będzie podobna do mnie, jego radość z posiadania następnej ukochanej Francuzki zaćmi wszelki żal - powiedziała miękko Amelia.

- Mam nadzieję, że mówi szczerze - odparła Brucena - ale ja modłę się, najdroższa ciociu, żeby twoim pierwszym dzieckiem był chłopiec.

- Prawdę mówiąc, ze względu na Williama, wolę mieć syna. Z drugiej strony przyjemnie byłoby mi porozmawiać sobie z córką, tak jak teraz z tobą.

- Przewiduję zatem - odparła wesoło Brucena - że będą bliźnięta.

- Oczywiście - zgodziła się Amelia. - I kolor niebieski jest dla chłopca, a różowy dla dziewczynki.

Uśmiech rozpromienił jej twarz.

- Wszystko jedno co się urodzi, i tak będzie moje, moje własne, a tylko to się dla mnie liczy.

Brucena wyjęła z kieszeni niewielki motek różowego jedwabiu.

Nie była pewna, czy kuzynce wystarczy nici na wykończenie derki, ale nie potrafiła oprzeć się urokowi małego chłopczyka, który wręczył jej kwiatek.

Pochyliła się i włożyła w jego rączkę różowy kłębek. Patrzył z niedowierzaniem, a gdy zacisnął go paluszkami, aż mruknął z zadowolenia.

Potem przyłożył go do piersi, jakby w obawie, czy mu się aby nie zdaje, że chciano mu to dać.

- Dla ciebie! - powiedziała Brucena w urdu. - Dla ciebie do zabawy.

Był zachwycony, wrócił pędem do innych dzieci trzymając rączkę wysoko nad głową i krzycząc:

- Moje! Moje! Wszystko moje!

To zwykła radość posiadania, pomyślała. I czy to Amelia czy mały chłopiec, każdy chce mieć rzecz, która należy wyłącznie do niego.

- Ja nie mam nic! Nic, co naprawdę jest moją własnością! - pomyślała w nagłym przypływie żalu.

Spojrzała przed siebie na drogę biegnącą aż po horyzont i powiedziała sobie w duchu, że istnieje coś o wiele cenniejszego od majątku, co należy do niej.

Wiedza, którą odnalazła poznając rzeczy zupełnie nowe, była bardziej ekscytująca niż brylanty, bardziej wartościowa niż jakakolwiek fortuna.

- To jest moje - powiedziała wyzywająco do niebie - i tego nikt mi nigdy nie odbierze!

* * *

Kiedy William Sleeman wrócił na lunch do domu, był w dobrym nastroju.

- Pomyślałem, że gdy ochłodzi się pod wieczór, zabiorę was obie na przejażdżkę - powiedział do żony.

- Kochany Williamie, co za wspaniały pomysł! - odparła Amelia. - Czy to znaczy, że jesteśmy już bezpieczni?

- Mam nadzieję. Nasza ostatnia akcja, przeprowadzona przeciw nieporównanie większym siłom, okazała się tak owocna, że mam wątpliwości, czy w tej okolicy został się choć jeden thag. Rozpierzchli się tak szybko, że i śladu po nich nie ma.

Brucena słuchała z uwagą.

Miała wrażenie, że gdyby zaczęła zadawać pytania, wuj zmieni temat rozmowy.

Nie uwierzycie - ciągnął - że mężczyzna, którego szukaliśmy przez sześć miesięcy, okazał się agentem wywiadu zatrudnionym przez Kompanię Wschodnio-indyjską!

- Nie do wiary! - przyznała Amelia.

- To prawda i każdy kto z nim pracował przysięgał, li był tak lojalny, że oddałby za niego swoje życie, co rzeczywiście czynili.

- Jak to możliwe, że udaje im się zdobyć tak ważne stanowiska nie wzbudzając niczyich podejrzeń? - spytała ciotka.

- Nad tym się zastanawiam ilekroć przewracamy kamień administracji i znajdujemy pod nim thaga - odpowiedział jej mąż. - Ten mężczyzna siedzi już za kratkami i oczekuje procesu. A w moim przekonaniu fakt, że złapaliśmy właśnie jego, będzie postrachem dla tych, którzy uważali, że jest nietykalny.

Amelia westchnęła.

- Najbardziej nurtuje mnie to, iż wierzą oni w swe nadprzyrodzone moce, które pozwalają im przetrwać.

- Zaczynają rozumieć, że my jesteśmy od nich silniejsi nie tylko dzięki naszej sile. Jeden z mężczyzn powiedział mi tak: - Na dźwięk waszych bębnow czarnoksiężnicy, wróżki i demony odlatują. W jaki sposób thagowie mają przetrwać?

- Właśnie, jak? - odparła Amelia. - Powinieneś, kochanie bardzo na siebie uważać. Jeśli coś się stanie tobie, diabły i demony zjednoczą się i powrócą.

- Naturalnie! - zgodził się wuj. - Jednak wierzę, że do tego czasu Bóg mnie ochroni, ponieważ, z czym zgadzają się również oni, moja praca służy Bogu, a nie demonom.

Później, kiedy słońce przestało świecić tak intensywnie jak w ciągu dnia i powietrze stało się chłodniejsze, wsiedli do odkrytego powozu i ruszyli drogą wzdłuż brzegu jeziora.

Pomimo zapewnień wuja, że eskorta nie jest już potrzebna, Brucena zauważyła, że dołączyło do nich kilku kawalerzystów. Doszła do wniosku, że tej oprawy wymagało jego wysokie stanowisko.

Nie komentowała tego teraz, bo nareszcie miała możliwość obejrzenia okolicy.

Zarośla nad brzegiem wody, kobiety w pięknych, kolorowych sari dźwigające ciężkie pakunki na głowach, mali chłopcy jadący na bawołach, stado czarnych i białych kóz - wszystko to było niezwykle atrakcyjne.

Samo jezioro posiadało wiele uroku, mieniąc się złotym blaskiem promieni zachodzącego słońca. W zimnej wodzie radośnie pluskały nagie dzieci z odosobnionych wsi.

Brucena pomyślała, że właśnie takie Indie chciała zobaczyć. I nawet widok sępów trzepoczących wielkimi skrzydłami, kiedy wystraszone odlatywały pozostawiając na ziemi rozdartą padlinę, nie rozwiewał czaru.

Po przejechaniu kilku mil wuj dał rozkaz powrotu. Wracali inną drogą, gdzie falista ziemia częściej była porośnięta kępami drzew.

Jakby myśląc o tym cały czas, wuj wskazał na rzędy drzew cytrynowych i figowe święte drzewa Hindusów, mówiąc:

- To są te odrażające miejsca, gdzie nieszczęśni podróżni zatrzymujący się na noc, w cieniu konarów najpierw czują na wysokości krzyża kolano thaga, jego ciężki oddech nad głową, a zaraz potem jedwabną szarfę zawiniętą dokoła szyi.

Amelią wstrząsnął dreszcz zgrozy.

- Williamie, przerażasz mnie! Ujął ją za rękę.

Przepraszam, kochanie, nie chciałem cię wystraszyć. Właściwie myślałem tylko na głos.

Tak właśnie Brucena przypuszczała, niezmiernie zainteresowana tym, co powiedział.

Wiedziała, że miejsce zaduszenia podróżnego nosiło nazwę bele, a pola to tajemny znak pozostawiony przez jednego thaga innemu; kburakiem nazywany był dźwięk Oskarda, którym kopali grób.

Stopniowo z wielu faktów układała własny o nich glosariusz.

Zarówno major Huntley, jak i wuj dawali jej jasno odczuć, że błędem jest zadawanie bezpośrednich pytań na ten temat; lepszym sposobem było słuchanie informacji.

Jechali dalej i wkrótce z oddali zaczął wyłaniać się Saugor.

Od strony miasta szli ludzie, których Brucena obserwowała z zainteresowaniem. Wracali oni do swych domów, niosąc puste kosze po warzywach sprzedanych na targu.

Wtem dostrzegła z oddali dwóch dystyngowanych mężczyzn w turbanach. Mieli na sobie białe dhoti przepasane szarfą wokół obcisłych spodni i sandały z wywiniętym szpicem.

Robili wrażenie bardziej zamożnych i byli lepiej ubrani od innych Hindusów, których mijali po drodze. Zastanawiała się, czy pochodzą z tego rejonu, czy też byli podróżnymi.

Miała właśnie o to spytać wuja, gdy dostrzegła idącego między nimi małego chłopca.

Od razu uderzyło ją, że już gdzieś widziała malca, chociaż większość hinduskich dzieci jest bardzo do siebie podobna.

Ale on wyglądał inaczej. Teraz była już przekonana, że to jemu dziś rano ofiarowała różowy motek jedwabiu w podziękę za kwiat.

Kiedy powóz zbliżył się, mężczyźni zeszli na pobocze drogi, żeby go przepuścić.

Wtedy zobaczyła, że dziecko o drobnej twarzy i wielkich oczach, które ją tak zachwyciło i uśmiechało się ujmująco - teraz płakało.

Łzy spływały mu po policzkach, a jednak nie wydawał z siebie głosu. Był to niemy płacz.

Gdy jeden z mężczyzn puścił jego rączkę, składając dłonie w geście namaste, by skłonić się angielskiemu nahibowi na znak odwiecznego powitania, zobaczyła, że dziecko ciągle mocno ściska motek różowych jedwabnych nici do haftu, który dostało tego ranka.

Rozdział trzeci

Brucena zamarła. Odniosła wrażenie, że w tej jednej małej chwili przemknęło przez jej myśl tysiące pytań.

Wiedziała, że nie powinna poruszać tej sprawy w obecności kuzynki, a także dzielić się swoimi obawami.

Amelia wspominała już, że się boi, a Brucena zaraz po przyjeździe zauważyła, że wuj świadomie unikał rozmów o thagach w obecności swojej żony.

I nie tylko dlatego, że była w ciąży. Jak większość Anglików, uważał, że o kobietę należy się troszczyć i chronić przed niemiłymi przeżyciami i agresją.

Miał w sobie tak charakterystyczną dla Kornwalijszczyków rycerskość. Brucena przypominała sobie, że jej dziadek pochodzący z Kornwalii, którego bardzo kochała, miał te same zasady.

Przekonywała siebie, że powstałe podejrzenia są wynikiem nadmiernej wyobraźni i postanowiła odsunąć je od siebie.

Wuj powiedział, że po ostatniej czystce wszyscy thagowie opuścili najbliższą okolicę; przekonała się jednak widząc buntowników zaraz po przyjeździe do Saugoru, gdy powieszono sześciu thagów, że wielu ludzi sympatyzowało z nimi, albo też było zbyt zastraszonych, żeby przyjąć inne stanowisko.

W chwilę później minęli grupę osób, która najwyraźniej towarzyszyła dwóm dystyngowanym mężczyznom prowadzącym małego chłopca.

Byli to brodaci ludzie w turbanach, którzy robili wrażenie bogatych, ponieważ byli dobrze ubrani. Ciągnęli za sobą juczne konie uginające się pod ciężarem ładunku.

Nie było wśród nich ani jednej kobiety. Brucenę ciekawiło co stało się z tymi, które widziała dziś rano we wspaniałych sari i gdzie są dzieci bawiące się z chłopcem, który wręczył jej kwiatek.

Z trudem starała się opanować drżenie głosu, pytając: Skąd idą... ci ludzie?

Dzisiaj w Saugorze był wielki targ - odparł wuj. - Rolnicy z całej prowincji sprzedawali swoje warzywa i owoce, a ich kobiety przybyły tu razem z nimi, by kupić sobie piękne sari i biżuterię, którą noszą w nosach i dokoła ramion. Nie była to oczywiście odpowiedź na wszystkie pytania Bruceny.

Skoro tak wiele osób przemieszczało się z miejsca na miejsce, czy nie było nigdzie thagów, którzy gdzieś czyhali?

Mogli oni czekać w cieniu cytrynowych drzew, które właśnie mijali, potem szybko i bezszelestnie popełnić okropną zbrodnię, zabrawszy dla siebie

wszystko, co kupiły ofiary i dołączyć to do łupów zdobytych przez innych thagów.

To nie może zdarzyć się tutaj, w biały dzień - mówiła sobie.

A jednak strapiona twarzyczka chłopca i łzy spływające po jego policzkach, były potwierdzeniem jej najgorszych domysłów.

Jechali dalej. Amelia o czymś gawędziła, Brucena jednak milczała.

Ciekawiło ją, co powiedziałby wuj, gdyby zwierzyła mu się ze swoich podejrzeń. Lękała się trochę, że wyśmiałyby ją, kazał zapomnieć o thagach i zwyczajnie cieszyć się życiem, tak jak na jej miejscu robiłaby każda Angielka.

Czuła jednak, że zdradzi chłopca, gdyby nie skłoniła wuja do śledztwa. Pomyślała, że mężczyźni z jucznymi końmi nie są jeszcze zbyt daleko, a sipaje na koniach bez kłopotu zdołają ich dogonić.

Powóz dojechał do bungalowu i kiedy mijał klomby kwitnących krzewów przed domem, Brucena zobaczyła majora Huntleya na stopniach werandy.

Podszedł i gdy konie stanęły, otworzył drzwi powozu, mówiąc:

- Przyjechał lord Rawthorne z listem od rezydenta Gwalior, sir.

- Dlaczego pan Cavendish miałby pisać właśnie do ciebie, Williamie? - wtrąciła Amelia, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. - Sądzę, że skoro już to zrobił, formą tego listu jest z pewnością nieprzyjemna.

- Nie powinniśmy mieć co do tego żadnych wątpliwości - powiedział wuj z uśmiechem. - Ale kim jest lord Rawthorne?

- Z tego co wiem, przyjechał do Indii na inspekcję i zatrzymał się u rezydenta z listami polecającymi od generała-gubematora.

- Powinniśmy wyrzucić na nim korzystne wrażenie - zwrócił uwagę wuj William.

- Dojechał z opóźnieniem, ponieważ jego podróż przedłużyła się. Podczas pana nieobecności, sir, zasugerowałem, by zatrzymał się u państwa na noc i że chętnie pan i pani Sleeman będziecie go u siebie gościć - ciągnął major.

Dobrze zrobiłeś! Bardzo dobrze! - zgodził się wuj.

Wysłałem jego eskortę do koszar. A on ze swoją służbą zatrzymają się tutaj.

Wuj kiwał z aprobatą wysiadając z powozu, a major Huntley pomógł wysiąść Amelii.

Brucena wyszła sama.

Stała już na ziemi zanim wyciągnął do niej rękę. Przeszło jej przez myśl, żeby jemu wyjawiać swe podejrzania.

Potem pomyślała, że pewnie odpowie lekceważąco na podobne sugestie i każe, jak to już czynił, w ogóle nie zaprzętać sobie myśli thagami.

Poszła więc za ciotką do salonu, w którym zastała przy rozmowie wuja i wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę po trzydziestce.

Przykro mi, że nie zastał mnie pan w domu - zaczął kapitan. - Nie bardzo rozumiem, dlaczego pan i'nvendish nie powiadomił mnie o pańskim przyjeździe, byśmy mogli zorganizować pana pobyt w naszym domu.

Nie chciałem sprawiać kłopotu - odparł lord Rawthorne. - Zamierzałem przybyć dużo wcześniej i po zaznajomieniu się z panem, wyjechać do Bhopal, gdzie mam kilku przyjaciół. Dotarłem jednak z opóźnieniem, więc już nie zdołałem wyruszyć w dalszą drogę.

Cieszymy się, że możemy gościć pana u siebie. Chciałbym przedstawić moją żonę.

Amelia złożyła głęboki ukłon, a lord Rawthorne kiwnął głową.

- A to moja kuzynka, która niedawno przyjechała z Anglii, panna Brucena Nairn - mówił dalej wuj. Zobaczywszy Brucenę lord Rawthorne aż drgnął. W jego oczach malował się podziw, a Brucena pomyślała, że szacował ją w podobny sposób jak ocenia się dobrego konia.

Było w tym coś, czego nie lubiła. Miała wrażenie, że jest wyniosły i najwyraźniej szczyił się powagą swego stanowiska.

- Przyjechała pani niedawno z Anglii, podobnie jak ja - zagadnął. - Coś wiec nas łączy, panno Nairn. Jakie jest pani zdanie o tym dziwnym, dzikim i jakże niezwykłym kraju?

- Uważam, że jest fascynujący.

- Mnie także pociąga tu wiele zjawisk - odpowiedź ta niewątpliwie miała być dla niej komplementem.

Tego samego dnia wieczorem, kiedy usiedli do kolacji, na której został major Huntley, Brucena pomyślała, że nie było nic egzotycznego w otaczającej ich scenerii, może z wyjątkiem hinduskich służących. Tak konwencjonalna kolacja mogłaby mieć miejsce w jakimkolwiek kraju na świecie.

Ona z kuzynką ubrane były w swe najwytworniejsze suknie, wuj William miał na sobie mundur obszywany złotym galonem, a major Huntley czerwono-niebieskie ubranie bengalskich lansjerów, co w sumie ubarwiało tę skromną uroczystość i nadawało jej charakter bardzo oficjalny.

Lord Rawthorne wyglądałby raczej monotennie w porównaniu z innymi osobami, gdyby nie wpięta w jego sztywną koszulę spinka z ogromnym szmaragdem, który mienił się w świetle świec.

Był to kamień tak piękny, że Brucena nie mogła oderwać od niego wzroku. Lord, gdy tylko to zauważył, powiedział:

- Zdaje się, że podziwia pani mój ostatni nabytek. Po przyjeździe chciałem go kupić od maharadży Gwalior.

On jednak nalegał, aby mi go dać w prezencie. Teraz szukam czegoś odpowiedniego, czym mógłbym mu się zrewanżować.

Słuchając lorda, wuj westchnął i powiedział wolno, jak by dobierał słowa:

- Uważam, milordzie, że lepiej jest zachować ostrożność w przyjmowaniu prezentów od młodego maharadży.

- Jak mam to rozumieć? - dopytywał się lord Rawthorne.

- Po prostu, gdy dorósł na tyle, by przejąć poważne obowiązki w swoje ręce, stał się raczej nieznośny. Kiedy niedawno rozmawiałem o nim z generałem-gubernatorem, dał mi jasno do zrozumienia, że powinniśmy mieć baczenie na „oszustów, którzy przynoszą nam prezenty”.

Lord Rawthorne zmarszczył czoło, jakby szukał sposobu, by temu zaprzeczyć.

- Rozumiem pana doskonale, Sleeman. Jednakowoż brytyjski rezydent uważa, że krąży wiele krzywdzących plotek o maharadży. Dał on do zrozumienia, że Anglicy wielokrotnie obeszlili się z nim niesprawiedliwie.

Brucena zauważyła, że wuj z trudem powstrzymuje słowa, które miał już na końcu języka.

Posiadał bardzo wiele informacji o zachowaniu młodego maharadży. Miał jednakże wątpliwości, czy nie zostaną one powtórzone rezydentowi i wiedział, że mogłyby być powodem nowych problemów.

Stary maharadża umarł sześć lat temu, pozostawiwszy żonę Baza Bae, która nie urodziła mu spadkobiercy.

Po wielkich naradach adoptowała ona kuzyna swego drugiego męża.

Chłopiec dostał tytuł maharadży i dorastał na królewskim dworze. Wkrótce też okazał się markotnym, cherlawym, młodym diabełkiem.

Armia prowincji Gwalior zawsze była buntownicza, awanturnicza i przyzwyczajona do grabieży, tym samym wystawiając na niebezpieczeństwo zarówno swoje państwo, jak i jego sąsiadów.

Książę nie hamował popędów rozwydrzonych malkontentów, a co dziwniejsze, brytyjski rezydent zdawał się aprobować fakt, że młodzieniec robi to, co mu się żywnie podoba.

To maharadża i jego najgorsi żołnierze wspierali thagów, a brytyjski rezydent uznawał, że raporty kapitana Sleemana o ich działalności są mocno przesadzone.

Rozgłaszał on wszem i wobec swe przekonanie, iż wiele wyroków skazujących schwytane osoby na powieszenie lub więzienie było pomyłką sądu.

Co więcej, odmówił kapitanowi Sleemanowi wydania zezwolenia, żeby ten mógł ścigać i aresztować thagów na terytorium okręgu Gwalior.

Sytuacja taka była bardzo uciążliwa dla kapitana. Jakkolwiek posiadał on pełnoprawne zezwolenie od generała-gubernatora na likwidowanie thagów i stosowanie w tym celu różnych metod represji, sąsiedztwo Gwalioru czyniło jego wysiłki jeszcze bardziej żmudnymi. Często powtarzał: „Ta prowincja jest miejscem azylu dla ludzi, których ścigam”.

Teraz, kiedy Brucena знаła już pochodzenie szmaragdu błyszczącego przy koszuli lorda, czuła, że jej zainteresowanie kamieniem słabnie, a jego blask stał się nagle demoniczny.

Ponieważ wątek rozmowy został przerwany, wuj zwrócił się do Iaina Huntleya rozpoczynając nowy temat. Wtedy lord Rawthorne odezwał się do Bruceny znaczącym tonem:

- W szmaragdach byłoby pani do twarzy, panno Nairn. Chciałbym je zobaczyć na tle pani białej skóry.

Uznała te wypowiedź za zuchwałą i nieznacznie unosząc podbródek do góry odpowiedziała lodowatym głosem:

- Jakie inne prowincje planuje pan zwiedzić? Lord zorientował się, dlaczego zmieniła temat rozmowy i powiedział ze złośliwym błyskiem w oczach:

- Jestem wędrowcem bez wyznaczonego celu podróży, panno Nairn, i mam zamiar zawsze dobrze się bawić tam, gdzie jestem.

Brucena nie odpowiedziała. Dalej ciągnęła rozmowę ciotka Amelia:

- Musi pan zobaczyć świątynię Taj Mahal, lordzie Rawthorne, jedną z najpiękniejszych budowli, jakie widziałam w swoim życiu. Mąż twierdzi to samo. Ojciec mój zawsze mówił, że to jeden z cudów świata.

- Proszę mi wybaczyć - zaczął lord - jeśli spytam o nazwisko pani ojca. Uważam za coś niezwykłego fakt, że w samym sercu Indii spotykam Francuzkę.

- Mój ojciec należy do starego książęcego rodu Blondin de Chalaïn. Nazywa się August Blondin de Chalaïn i osiadł w Ile de France, co wy nazywacie Mauritius. Przesłał mnie do Indii, ponieważ sądził, że tu znajdzie możliwości powiększenia swojej fortuny.

Brucena zauważyła, że lord nie tylko zainteresował się tym, co opowiadała Amelia, ale także był pod wrażeniem jej szlacheckiego pochodzenia.

Gardziła nim, ponieważ stopniowo zaczynał okazywać coraz większy szacunek, kiedy Amelia powiedziała, że w roku 1828, mając zaledwie dziewiętnaście lat, przyjechała do Indii i zamieszkała u angielskiej rodziny w Jubbulpore.

Wtedy to poznała Williama Sleemana. Ku niezadowoleniu większości młodych oficerów ubiegających się o jej rękę, zakochała się na śmierć i życie w czterdziestoletnim oficerze politycznym i poślubiła go.

Z pewnością nikogo nie dziwiło, że on się w niej zakochał. Bowiem Amelia de Chalin była wysoka, miała jasną skórę i ciemnobrązowe włosy, naturalne, żywe usposobienie, wrodzoną inteligencję i czar, któremu ulegali prawie wszyscy mężczyźni.

W jej obecnym stanie nie wyglądała jednak najlepiej, a wraz z mijającym wieczorem stawało się coraz bardziej oczywiste, że lord Rawthorne wpatrzony był wyłącznie w Brucenę.

Kiedy wszyscy panowie wrócili do stołu, przysiadł się do niej i powiedział komplementy, które nie schlebiali jej, dlatego, że jej zdaniem lord zachowywał się beczelnie.

Ponieważ czuła, że chciał ją uwieść swoimi zalotami i uważała go za wyjątkowo nieatrakcyjnego mężczyznę, zdumiała się słysząc jak wuj zwraca się do swojej żony:

- Przeczytałem, kochanie list od pana Cavendisha. Píše, że nasze spotkanie jest konieczne. Lord Rawthorne natomiast ma propozycję, na którą mam nadzieję przystaniesz.

- Jaka to propozycja? - spytała.

- Milord pragnie, abyśmy wspólnie z nim wzięli udział w grach sportowych, które zorganizowano specjalnie na jego przyjazd do Gwalior. Pomyślałem, że ten pomysł spodoba się tobie i Brucenie. Moglibyśmy razem pojechać do Gwalior i zatrzymać się w gościnnym domku, który jak twierdzi, ma do swojej dyspozycji.

Pani Sleeman była najwyraźniej zdumiona ofertą męża, ponieważ знаła jego opinię o Gwalior, a w szczególności o zachowaniu brytyjskiego rezydenta.

Szybko jednak zrozumiała, że musiał mieć jakiś ukryty powód, by przyjąć zaproszenie lorda Rawthorne'a, więc prawie natychmiast odpowiedziała z uśmiechem:

- To brzmi zachęcająco. Jestem pewna, że Brucena będzie również zadowolona. Jej pobyt jest, jak do tej pory, raczej nudny.

- Więc musimy to zmienić - odrzekł lord trochę ociężale. - Porozmawiam z maharadzą. On jest niezwykle uprzejmy. Urządzi dla was pokaz ludowych

tańców i inne imprezy, które moim zdaniem nigdzie nie są tak udane jak właśnie na dworze Gwalior.

Wiedziała, że wszyscy czekają na jej reakcję, więc odrzekła:

- To brzmi bardzo interesująco.

- Obiecuję nie sprawić zawodu.

I znowu lord odezwał się kierując słowa tylko do niej:

- Osobiście postaram się, żeby ten pobyt sprawił pani prawdziwą przyjemność.

Nie zdziwiło jej, gdy zegnając się przytrzymał jej rękę dłużej, niż to było konieczne, patrząc jej prosto w oczy, czym wywołał w niej uczucie zażenowania tym większe, że przyglądał się temu major Huntley.

Gdy tylko major odprowadził lorda do jego pokoju i Brucena została sama z kuzynami, zapytała prawie szeptem:

- Dlaczego chcesz pojechać do Gwalior, wuju Williamie? Sądziłam, że nie darzysz sympatią maharadży.

- Tak mnie zaskoczyłeś - wtrąciła Amelia, zanim zdążył odpowiedzieć - że przez chwilę myślałam, że żartujesz.

- To okazja, na którą długo czekałem. Do tej pory moje wizyty w Gwalior miały charakter oficjalny, gdyż wyjeżdżałem jako nadinspektor do walki z thagami. Skoro teraz mam być gościem zacnego lorda, nadarza się okazja, aby zmylić czujność wielu osób.

- Tak właśnie przypuszczałam - odparła Amelia. - Ale Williamie, czy to bezpieczne? Przepuścimy...

- Jeśli za bardzo się tym przejmujesz - przerwał natychmiast - to zostaniemy w domu.

- Ależ nie. Nie jestem aż tak głupiutka. Po prostu docierały do nas pogłoski o okropnym zachowaniu młodego maharadży, chociaż przed chwilą usłyszałam o nim sprzeczne opinie. Jego wiek nie usprawiedliwia sposobu, w jaki traktuje swoją dobrodziejkę Baza Bae.

- Jak on może być tak niewdzięczny, po tym jak go wybrała? - spytała Brucena.

- To okrutny, młody mężczyzna. Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi kiedyś jak ordynarnie traktuje tę biedną kobietę. Jej życie zależy od zachcianek maharadży.

William Sleeman zacisnął usta.

Brucena wiedziała, że wuj myśli o tym, by brytyjski rezydent zajął się poważnie tą sprawą. Nie było jednak sensu rozwijać tego tematu, więc powiedzieli sobie dobranoc i każdy poszedł do swojego pokoju.

* * *

Brucena jak zwykle wstała wcześniej rano.

Nie mogła się oprzeć, by nie pójść od razu na skraj ogrodu, gdzie wczoraj rano widziała chłopca, który ukazywał jej się w snach tej nocy. Liczyła jeszcze na to, że może wtedy na drodze pomyliła go z kim innym.

Spoglądała ponad niskim żywopłotem z hibiskusa, zastanawiając się czy wrócą wędrowcy, którzy zatrzymali się tu dzień wcześniej.

Nie było jednak nikogo. Na piaszczystej ziemi zostały ślady w miejscu, gdzie bawiły się dzieci.

Zawróciła z ciężkim sercem. Gdyby nawet teraz powiedziała wujowi o swoich obawach o los chłopczyka, na ratunek mogło być już za późno.

Skoro, jak podejrzewała, była to grupa thagów, zniknęli oni na pewno gdzieś w bezkresnej krainie, a może nawet podążyli do Gwalior, gdzie nic już im nie zagraża.

- Powinam mu o tym powiedzieć - powtarzała sobie w duchu.

Jednak było to trudne, a raczej całkiem nierealne, ponieważ gdy wrócili wtedy do domu, zastali w nim lorda Rawthorne'a, a potem zrobiło się tak ciemno, że nie znaleziono by już tej konkretnej grupy podróżnych, skoro tak wiele ich opuszczało miasto po zamknięciu targu.

Miała zamiar wrócić do bungalowu, gdy dostrzegła wysoką postać idącą przez ukwiecony ogród. Po chwili obok niej stał lord Rawthorne.

- Służący powiedział mi, że tu panią znajdę - powiedział.

- Miałem zamiar namówić panią na konną przejażdżkę.

- Sądziłam, że o świcie wyrusza pan w drogę - odparła.

- Skoro spotkałem panią, wcale mi się z tym nie spieszy.

Brucena odwróciła głowę, a on powiedział:

- Jest pani piękna! Wiem, że wielu mężczyzn to pani powtarza. Uważam, że jest pani najpiękniejszą istotą, jaką spotkałem od czasu wyjazdu z Anglii.

- Mógł pan lepiej przyjrzeć się Indiom i ich mieszkańcom. Moim zdaniem, chociaż niewiele jeszcze zwiedziłam... jest to najpiękniejsze miejsce na ziemi, a hinduskie kobiety są jak wyśnzione księżniczki.

- Pani nią jest - odparł lord przyciszonym głosem. - Wyśnioną księżniczką, jaką widziałem tylko w snach. Ale teraz jesteś prawdziwa, bo odnalazłem cię.

- Nie wolno panu tak do mnie mówić - powiedziała zerkając na ścieżkę w stronę domu.

- A kto mi przeszkodzi? - zapytał. - Jak lepiej mnie poznasz, przekonasz się, że zawsze mówię, to co myślę.

- Być może niektóre myśli lepiej jest zachować dla siebie - odparła.

Wybuchnął śmiechem.

- Nonsens! Wszystkie kobiety lubią komplementy, a ponieważ ja zawsze mówię prawdę, tym łatwiej jest ją zaakceptować.

Był tak zarozumiały, że zapragnęła sprytnie zrobić z niego głupca.

Nie potrafiła jednak znaleźć odpowiednich słów, więc przyspieszyła kroku. Przy jego wysokiej sylwetce czuła się bardzo mała. Wiedziała, że nie poradzi sobie z mężczyzną, który nie tracił czasu na wstępne umizgi w grze zalotów, jeśli to właśnie miały być zaloty.

Zupełnie jakby wiedział, o czym myśli, bo nagle zatrzymał się, wyciągnął gwałtownie rękę i przytrzymał jej dłoń, by nie mogła iść dalej.

- Spójrz na mnie! - rozkazał.

Była tak zaskoczona jego zachowaniem, że zrobiła, o co prosił.

- Myślałem o tobie przez całą noc - powiedział. - Chyba rzuciłaś na mnie urok! Jesteś czarująca! Podniecająca!

Mówił z niespodziewaną emocją. Brucena wyrwałaby mu się, ale mocno przytrzymał przegub jej ręki.

- Obawiam się, lordzie Rawthorne - zaczęła, chcąc zmrozić go swoim tonem głosu - że mam wystarczająco dużo szkockiej krwi, by nie nawiązywać przyjaźni w tak gwałtowny sposób, lecz poświęcać więcej czasu na poznanie się.

- Ależ wiesz, że to nie przyjaźń ci proponuję. Lecz skoro wolisz, w pewnym stopniu dostosuję się do twoich zasad. Masz w sobie coś takiego, co od razu uderza mężczyźni do głowy, a w połączeniu z tym klimatem daje upojną mieszankę.

- Bardzo proszę pozwolić mi wrócić do domu - odparła.

Próbowała wyrwać rękę, ale przytrzymał ją mocniej. Wystraszyła się jeszcze bardziej, ponieważ zamierzał ogarnąć ją drugim ramieniem, gdy dostrzegła z ulgą jakąś postać na ścieżce. Dopiero gdy rozluźnił uścisk, rozpoznała zbliżającego się majora Huntleya.

Zwróciła się w jego stronę, a on odezwał się przykrym karcącym tonem:

- Wuj panią szuka, panno Nairn. Znajdzie go pani w jadalni.

- Dziękuję, majorze Huntley - odparła. Mówiąc to patrzyła na niego i zaraz rozżłościła ją jego mina.

Nie ukrywał dla niej swojej pogardy ani potępienia. Pomyślała, że nie ma żadnego prawa patrzeć na nią w ten sposób ani podejrzewać, że sama sprowokowała sytuację, w której ją zastał.

Rozgniewana opuściła towarzystwo mężczyzn i skierowała się w stronę domu. Miała nadzieję, że będą oni myśleć, iż nie chce, aby wuj na nią czekał, a nie, że pośpiesznie uniknęła sytuacji, która była dla niej niezręczna.

Zupełnie nie uspokoił jej fakt, że wuj wcale nie czekał na nią w jadalni i wcale jej nie szukał.

Lord Rawthorne przez cały dzień nigdzie nie wychodził i chociaż Brucenie wypadało rozmawiać z nim podczas posiłków, w innych sytuacjach starała się schodzić mu z drogi.

Była pewna, że nie chce mieć z nim więcej żadnej styczności, więc zwróciła się do Amelii:

- Czy musimy jechać do Gwalior? Tutaj jestem całkiem szczęśliwa. Po tych wszystkich opowieściach, mam przeczucie, że to okropne miejsce.

- Będziesz się dobrze bawić, a sprawami i problemami Williama nie musisz się wcale przejmować. Jeśli wierzyć lordowi, będą tam gry sportowe i ludowe tańce. Nie będziesz się nudzić ani chwili.

- Raczej nie powinnam - odparła bez przekonania.

- Oczywiście, że nie! - przekonywała Amelia.- Pierwszy festiwal, w którym uczestniczyłam w Jubbulpore był najwspanialszym wydarzeniem, jakie nawet trudno sobie wyobrazić. Był fantastyczny. Każdy miał na sobie wspaniałą biżuterię; słonie również!

Roześmiała się i dodała:

- Moje dwa sznury pereł przy perłach maharadży wydają się niczym. On nakłada na siebie niezliczoną ich ilość i oczywiście naszyjniki z cennych kamieni.

- Czytałam kiedyś na temat hinduskich ozdób. Niektóre z kamieni przynoszą nieszczęście. Wczoraj pomyślałam tak o szmaragdzie lorda Rawthorne'a.

Zastanawiała się, czy to rzeczywiście jest prawda. Być może przyszło jej to do głowy, ponieważ go nie lubiła i czuła, że szmaragd, który miał przy koszuli, był szatański.

Potem powiedziała sobie, że klejnoty posiadają dziwne moce i nie chciałyby dostać w prezencie szmaragdu, który nosił lord Rawthorne, ani innych klejnotów, jakie kiedykolwiek należały do demonicznego maharadży.

- Podczas pobytu w Gwalior nie wolno nam okazać naszych uczuć nawet, gdy nas coś zaszokuje lub spotka nas afront. Takie są zasady grzeczności - powiedziała Amelia z uśmiechem i dodała:

- Zależy mi jedynie na tym, aby pomóc Williamowi. Nie masz pojęcia, jak bardzo poświęcił się tej krucjacie przeciwko thagom. Osiągnął do tej pory tak znakomite rezultaty, że każdego wprawiają one w zdumienie.

- Z pewnością - odparła Brucena. - I jestem pewna, że będzie też nobilitowany za pokonanie smoka, a ty zostaniesz milady i po powrocie do Anglii założysz wspaniałą tiarę.

Amelia roześmiała się. Brucena wiedziała, że głęboko w jej wrażliwym, przebiegłym, francuskim serduszku nosiła ambicję, aby pewnego dnia jej mąż został właściwie nagrodzony za swoje wysiłki i zdecydowaną postawę w dążeniu do wytoczonego celu wszystkimi możliwymi środkami.

Brucena odetchnęła z ulgą na wiadomość, że lord Rawthorne wyjeżdża wczesnym popołudniem w długą podróż do Gwalior.

- Nie ma pośpiechu - odpowiedział, gdy William Sleeman zalecał mu wyruszyć jeszcze przed lunchem.

- Potrafię szybko podróżować konno i dlatego nie skorzystałem z propozycji, by swoją inspekcję odbywać powozem.

- Nawet na koniu nie powinien pan podróżować po zapadnięciu zmroku - ostrzega! go kapitan.

Lord Rawthorne roześmiał się jakby drwiąco.

- Stale obawia się pan thagów, kapitanie? To mało prawdopodobne, by zarzucili żółtą szarfę dokoła mej szyi.

- Zawsze lepiej się zabezpieczyć - odpowiedział William Sleeman spokojnym głosem.

- Robię to - odparł lord z rozbawieniem. - Gdybym słuchał pana, musiałbym podejrzewać każdy cień na drodze i wyobrażać sobie, że to thag, który na mnie poluje! Osobiście dostrzegam takie rzeczy tylko podczas bezksiężycowych nocy!

Wybuchnął gromkim śmiechem, aż Brucena miała ochotę cisnąć czymś w niego.

Wuj natomiast w ogóle się nie przejął.

- Za trzy tygodnie spotkamy się ponownie, milordzie.

- Zmieniłem plany. Nie mogę czekać tak długo. Dojadę pod wieczór, a cały jutrzejszy dzień zajmą mi przygotowania do waszego przyjazdu, których jeszcze nawet nie zacząłem. Zatem oczekuję państwa za osiem dni. Z niecierpliwością będą mi się dłużyć godziny.

Mówił do Williama Sleemana, ale patrzył na Brucenę. Była na siebie zła, ponieważ mimowolnie zaczęła się czerwienić.

Nie starał się nawet ukryć swoich uczuć wobec niej. I jakkolwiek wuj mógł tego nie dostrzec, z pewnością nie uszło to uwagi Huntleya.

Zła, skierowała się w stronę drzwi i wyszła na werandę, żeby popatrzeć na kwiaty w ogrodzie.

Było bardzo gorąco i nagle ze zdumieniem uświadomiła sobie, że lubi upał. Nie dokuczał jej on tak bardzo jak większości Anglików.

Wiedziała, że pod koniec roku można było wychodzić z domu nawet w południe i wczesnym popołudniem. O innej porze roku Brytyjczycy mieli zwyczaj wstawania bardzo wcześnie rano i kładli się spać po lunchu, zwyczajem wszystkich Hindusów.

Z miejsca, w którym stała, w cieniu krzewów i drzew widniało coś, co przypominało zwinięte tobołki. Byli to ogrodnicy odpoczywający w czasie sjeisty.

Trwała ona co najmniej dwie godziny. Inni służący zatrudnieni w gospodarstwie również mieli teraz czas na odpoczynek.

Usłyszała za sobą kroki i odwróciwszy się, ujrzała lorda Rawthorne'a.

- Przyszedłem się pożegnać, a właściwie powiedzieć ou revoir.

- Do zobaczenia, milordzie.

- Pani wie, jak bardzo chcę ją znowu zobaczyć - powiedział ujmując jej dłoń w swoje dłonie.- Mam puni mnóstwo do powiedzenia i tyle samo w zamian chcę usłyszeć. Łatwiej nam to przyjdzie w Gwalior - nic mogę się wprost doczekać!

Miała nadzieję, iż tak się nie stanie, ale milczała.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę i nim się zorientowała, uniósł jej dłoń do swych ust.

Poczuła na skórze dotyk warg i z jakiegoś powodu, którego nie umiała sobie wytłumaczyć, zadrżała.

Potem z ulgą usłyszała głos wuja wchodzącego na werandę i została uwolniona.

Kiedy lord Rawthorne odjechał z żołnierzami kawalerii Gwalioru, poczuła niewymowną ulgę.

- Co łączy lorda z Gwalior? Czy naprawdę lubi maharadżę? - usłyszała pytanie majora Huntleya.

- Ma na pewno ważne po temu powody - odpowiedział wuj. - A jeśli o mnie chodzi, na taką okazję czekałem wystarczająco długo, żeby się już o nic z nim nie spierać.

- Tak, oczywiście, że tak - zgodził się major. - Ale uważam, że jest raczej nieznośnym człowiekiem.

- Też tak sędzę - chciała powiedzieć Brucena. Przypomniała sobie jednak podejrzliwe spojrzenie majora i poczuła złość, bo nie była w stanie poniżyć się do tego stopnia, żeby tłumaczyć się przed nim.

- Niech sobie myśli, co chce - pomyślała. - Na swój sposób jest prawie tak samo niesympatyczny jak lord Rawthorne.

Odwróciła się i chciała wejść do środka, gdy wuj spytał:

- Dokąd idziesz?

- Spakować moje najpiękniejsze suknie, by olśnić Gwalior i oczywiście czarującego lorda Rawthorne'a!

Mówiła z ironią i ucieszyła się widząc nagły błysk złości w oczach majora i jego naburmuszoną minę.

Czy on sądzi, że mogłaby się zadurzyć w tym zarozumiałym fircyku? - zastanawiała się. Jeśli tak, to oznacza, że jest głupi.

Było sporo rzeczy, które należało spakować przed wyjazdem. Wszystkie pokojówki zajmowały się teraz upychaniem strojów Amelii i Bruceny.

Ani przez chwilę nie żałowała pieniędzy, które wyjęła ze swojej cennej skarbonki, aby kupić nowe suknie.

Przed wyjazdem z Anglii przeczytała dość na temat Indii, by zorientować się, że z powodu upałów należało często się przebierać. Cieszyła się, że wystarczy jej sukienek na następne kilka miesięcy.

Tym niemniej była wzruszona i niezmiernie wdzięczna Amelii, która ofiarowała jej kilka swoich, ponieważ już na nią nie wchodziły.

- Będą ci jeszcze potrzebne - zaprotestowała Brucena. - Nie mogę ich wziąć. Amelia uśmiechnęła się.

- Wtajemniczę cię w mój sekret - powiedziała. - Mój ojciec mnie psuje. Choć to dzięki mnie zrobił niemal fortunę, a William dostał bardzo duży kredyt.

Brucena zdziwiła się, więc Amelia wyjaśniła jej: Powodem, dla którego przyjechałam do Indii było to, że mój ojciec chciał, abym wy badała sytuację i doniosła mu o trzcinie cukrowej, którą pewien kapitan Sleeman importował z Tahiti. Roześmiała się lekko.

- Biedny William nie wiedział wtedy, że najlepsza trzcina pochodzi z Mauritiusa. Mówiła dalej uśmiechając się:

- Bardzo się namęczyłam, aby go przekonać, że nasza trzcina cukrowa jest dużo lepszej jakości niż jego. Poprosił mnie, żeby mu ją pokazać i mój ojciec przysłał mu ziarno.

Widząc zainteresowanie Bruceny ciągnęła dalej.

- Nie muszę ci mówić zakończenia tej historii! Trzcina cukrowa z Mauritiusa bujnie zakwitła, rząd pogratulował Williamowi za wszystko, co zrobił dla rolnictwa, a papa zarobił dzięki temu mnóstwo pieniędzy!

Brucena klasnęła w ręce.

- Co za wspaniała historia! Tym bardziej że prawdziwa.

- Nie interesowała go wyłącznie trzcina cukrowa - powiedziała miękko Amelia. - Po raz pierwszy, gdy zobaczyłam jego niebieskie oczy i inteligentne czoło, wiedziałam, że to jest mężczyzna, którego szukałam przez całe życie.

- Naprawdę zakochałaś się od pierwszego wejrzenia? - spytała Brucena.

- Nie od pierwszego - Amelia przyznała szczerze. - Po rozmowie z nim przekonałam się, jak bardzo się różni od innych młodych mężczyzn, którzy tylko prawili mi komplementy i chcieli ze mną tańczyć. Wiedziałam, że jest jedynym mężczyzną, za którego chciałabym wyjść za mąż.

- Był dużo starszy od ciebie.

- Tak - przyznała Amelia. - Miałam dziewiętnaście lat, a on czterdzieści i był jeszcze kawalerem! Ale miłość nie ma nic wspólnego z wiekiem. Miłość jest porywająca. Kiedy ją spotkasz, kochanie, zrozumiesz, o co mi chodzi.

Brucena westchnęła lekko.

- Mam nadzieję - odpowiedziała. - Czasem wydaje mi się, że nigdy się nie zakocham.

Amelia uśmiechnęła się znacząco.

- Zakochasz się - odparła. - Nagle twoje serce zacznie inaczej bić, usłyszysz dokoła muzykę i rzeczywiście, jeśli spotkasz mężczyznę, który do tej pory był tylko w twoich snach, świat już nigdy nie będzie ten sam.

- Mam nadzieję, że kiedyś poszczęści mi się tak jak tobie - odparła Brucena, a w jej głosie zabrzmiała nuta pesymizmu.

Podczas tej rozmowy nabierała przekonania, że jej serce jest inne niż serce kuzynki: przyziemne i dużo bardziej praktyczne. Francuzki gdzie się obróca, znajdują miłość - ona była wykonana z surowszej materii.

- Wolalabym, żeby było inaczej - pomyślała. Chcę się zakochać. Chcę wyjść za mąż i być tak szczęśliwa jak Amelia z wujem Williamem.

Nagle przypomniała sobie o lordzie Rawthorne i aż się wzdrygnęła.

Jeśli on ma być tym typem mężczyzny, który poprosi ją o rękę, to woli już do końca życia zostać starą panną!

Powiedziała sobie, że jak znajdzie się w Gwalior, będzie ostrożna... bardzo ostrożna, by nie zostać z nim sam na sam i uniknąć tego, czego obawiała się najbardziej: jego dotyku.

Po jego pocałunku kilkakrotnie umyła rękę, a pomimo to ciągle nie mogła wyzbyć się wstrętnego poczucia dotyku jego gorących, namiętych i spragnionych ust.

Kładąc się wieczorem do łóżka spojrzała w niezgłębioną ciemność za oknem.

Gwiazdy świeciły jasno, powietrze pachniało kwiatami, a wiatr roznosił zapach palonego drzewa.

Była to wymarzona noc do miłości, szeptu kochanków, nieustającej pieśni brzmiącej na powierzchni wody, czułości przekazywanej z dłoni w dłoń i z ust do ust.

A jednak Brucena nie myślała o miłości, lecz o małym chłopcu, dziecku z zapłakaną buzią, które mocno trzymało w rączce motek miękkiego różowego jedwabiu.

Gdzie on teraz jest? Dokąd go zabrano?

Czy został wtajemniczony w straszliwy kult bogini ciemności - Kali?

Nagle poczuła, że zawładnął nią silny lęk, nad którym nie potrafi zapanować.

Czym innym było czytanie o thagach, nawet myślenie o nich, a czym innym świadomość, że znajdują się gdzieś pośród tych ciemności i mordują z prawdziwą przyjemnością, z jaką Anglik spędza czas na przykład na polowaniu.

Różnica polegała na tym, że oni poświęcili się temu, oddając całe życie odrażającej, zbrodniczej religii.

Brucena uświadamiała sobie ze zgrozą, że w sytuacji ich całkowitej anonimowości, nikt nie miał pojęcia, gdzie szukać thaga i w jaki sposób go rozpoznać.

Byli gdzieś w ciemnościach nocy, czekali na zaspokojenie swej żądzы krwi, całkowicie oddani jednemu celowi, by potajemnie mordować, najczęściej bez obawy, że zostaną ujawnieni i schwytani.

- W jaki sposób jeden mężczyzna, a mianowicie wuj William, który pierwszy ujawnił bezmiar ich okrucieństwa, a teraz walczy z nimi prawie w pojedynkę, może kiedykolwiek wygrać? - pytała siebie.

Bez względu na stronę moralną tej sprawy, zmierzył się on z czymś, co istniało od wieków i osadzone było głęboko w świadomości całych pokoleń thagów.

- To beznadziejne! Nieosiągalne! - myślała z rozpaczą.

Wtem znowu ukazała się jej mała twarzączka chłopca i jego zroszone łzami oczy, a po chwili wuj z ostrym spojrzeniem niebieskich oczu, z których bił zapął do ostatecznej walki z obrzydliwymi praktykami, kiedy przyrzekł, że skończy z nimi raz na zawsze.

Rozdział czwarty

William Sleeman pragnął, aby podróż jego żony do Gwalior była wygodna i przyjemna.

Sam, bez pośpiechu, drogę tę przebywał zazwyczaj w pięć dni. Zdawał sobie jednak sprawę, że Amelia i Brucena chciałyby popatrzeć na krajobraz, a on miałby okazję zrobienia po drodze inspekcji w kilku podległych mu okręgach.

Lord Rawthorne rozbawił go, gdy tak bardzo nalegał na ich szybki przyjazd, ponieważ jasne było, że przyczyną tych nalegań była raczej chęć spotkania Bruceny, a nie bawienia ich podczas uroczystości zorganizowanych na ich cześć.

Jednak dla Williama Sleemana załatwienie ważnych spraw stanowiło cel nadrzędny.

Dlatego wysłał najpierw kilku posłańców, aby uprzedzili urzędników o jego przejeździe przez wybrane terytoria. Rozkazał im także dopilnować, żeby zorganizowano po drodze najwygodniejsze noclegi.

Brucena była pod wrażeniem sposobu i precyzji, z jaką wuj zaplanował całą podróż.

Po trzech dniach, o świcie, wyruszyli w drogę. Ku jej zadowoleniu powóz zaprzężony był w cztery wytworne, bardzo kosztowne gniade konie.

Jak zwykle jechali w eskorcie sipajów i kawalerzystów. Gdy wyraziła swój podziw na widok królewskiego wręcz zaprzęgu, wuj William roześmiał się.

- Gdybyśmy nie musieli tam dotrzeć tak szybko, zorganizowalibyśmy to z większymi szykanami. Mam zamiar jeszcze wybrać się w taką podróż w następnym roku, kiedy będę przeprowadzał inspekcję.

- I będziesz wyglądał jeszcze bardziej poważnie niż teraz? - spytała Brucena.

- Oczywiście. Wtedy pierwszy kroczy słoń, a ja podróżuję na palankinie.

Uśmiechnął się i powiedział ironizując z samego siebie:

- W moim zawadiackim kogucim kapeluszu wzbudzam szacunek i podziw nawet thagów!

Brucena odżałowała słonia i bawiło ją, że ich konie i powóz wywoływały zachwyty wśród ludzi, których mijali.

Zauważyła wkrótce, że wuj wzbudzał nie tylko szacunek i zaufanie, ale nawet był kochany przez ludzi w swojej prowincji.

Wielu z nich już teraz odczuwało znaczną ulgę dzięki skutecznym działaniom przeciwko thagom. Podróżowanie stało się bezpieczniejsze. Nie byli już tak jak w przeszłości zmuszeni do milczenia.

Brucena kiedyś w rozmowie z wujem napomknęła o jego osiągnięciach, ale on zaprzeczył:

- Jest jeszcze wiele do zrobienia - powiedział. - I nie jestem zbyt szczęśliwy mając świadomość, że przepędzam thagów z tej prowincji, a oni mogą dalej prześladować ludzi w innych częściach Indii.

Podczas podróży miała wrażenie, że przez cały czas wuj dręczy się tym jak bardzo utrudnia jego pracę fakt, że uciekinierów przyjmuje się w prowincji Gwalior.

Nie wiedziała, że już wcześniej naradzał się z Iainem Muntleyem w sprawie korzyści wynikającej z wizyty, podczas której udałoby im się doprowadzić do ujawnienia w Gwalior reszty podejrzanych.

- Sądysz, że oni mogliby się ujawnić? - spytał Iain Huntley.

- Pamiętaj, że wielu z nich nie ma pojęcia, że w ogóle wiemy o ich istnieniu, a przecież ty i ja posiadamy tajemną listę ich nazwisk. Jestem pewien, że olbrzymia część z tego spisu to osoby, które sądzą, że utrzymały anonimowość.

- To prawda - zgodził się major - musimy być bardzo czujni.

Najbardziej w tym względzie liczę na ciebie - odparł William Sleeman. - Wiesz, ile sukcesów masz już za sobą. Misje, które ci zlecałem, nie dałyby takich rezultatów, gdybym wysłał inną osobę.

- Dziękuję - powiedział major Huntley. Mężczyźni uśmiechnęli się. Byli partnerami i czuli wzajemną wdzięczność za udaną współpracę w tej trudnej walce.

W rzeczywistości nie było nikogo innego, z kim William Sleeman mógłby się poradzić.

Wuj nie chciał niszczyć szczęścia i romantycznej atmosfery, jakie łączyły go z Amelią, zadręczając ją przykrymi szczegółami swojej pracy.

Oczywiście i tak wiedziała już sporo. W domu jednak starał się zainteresować ją innymi sprawami, które zajmowały oboje od czasu ich pierwszego spotkania, jak rolnictwo czy uprawa trzciny cukrowej.

William Sleeman był także niezwykle zainteresowany odmianami drzew.

Kiedy rząd złożył mu gratulacje po sukcesach w uprawie trzciny cukrowej z Mauritiusa, by uczcić tę okazję, zaczął obsadzać drzewami imponującą aleję ciągnącą się od Jhansi Ghat nad rzeką Nerbudda do Mirzapur nad Gangesem,

Owoce tych drzew nigdy nie były zrywane, aby każdego roku umiłały podróżnym długą podróż, i ironią losu było, że właśnie wśród tych drzew „wyhodował” sobie thagów.

Od tego czasu coraz częściej studiował florę Indii, a Amelia przy jego pomocy zrobiła kilka wspaniałych szkiców kwiatów i roślin, ponieważ wiedzieli oboje, że zainteresują tym przyjaciół w Anglii.

Kiedy jechali na północ w stronę Gwalior, pokazywał Brucenie wszystko, co może być dla niej ciekawe. Wsłuchiwała się w fascynujące opowieści o ludziach, których mijali po drodze.

Od niego dowiedziała się na przykład, że dziewięciu na dziesięciu Hindusów w Indiach wierzyło, że tęcza miała swój początek z oddechu węża i że spadająca gwiazda wskazywała narodziny wielkiego człowieka lub że wielu ludzi umarło tej nocy.

Pewnego dnia, kiedy Amelia spała, Brucena poprosiła, by opowiedział o przesądach thagów.

Ścisłym głosem tak, żeby żona nie usłyszała, wuj powiedział, że przed każdym ich morderczym wyczynem składali oni przysięgę Kali i Bhowani - bogini czarnej ospy.

Przed wyprawą kilku z bandy wyruszyło w oznaczonym przez siebie kierunku, by zaobserwować lot ptaków i wsłuchiwać się w odgłosy wydawane przez jaszczurki.

- A co oznaczają te dźwięki? - spytała zaciekawiona.

- Odgłos jaszczurek lub kruków na zdrowym drzewie, od lewej strony jest dobrym znakiem.

- Są jeszcze inne znaki?

- Bardzo wiele. Pojawienie się tygrysa pozytywnie jest za znakomity znak, a dźwięk kuropatwy po prawej stronie drogi wskazuje, że zdobędą dobry łup dokładnie w tym samym miejscu. W związku z czym czekają tam na nieszczęsną ofiarę.

- A co przepowiada niepowodzenie?

- Zając lub wąż przechodzący drogę tuż przed nimi, krzyk sowy i głos pojedynczego szakala.

- To wszystko jest dość skomplikowane.

- Cieszy mnie, że dzięki temu ich zadanie staje się trudniejsze - odparł. - Nieszczęściem jest zabicie członka sekty Kamal, kowala, cieśli, pracza, kamieniarza, karczmarza i trędowatego!

Brucena krzyknęła cicho.

- To nie zostawia wielkiego wyboru wśród potencjalnych ofiar.

- Znajdują ich dosyć - odparł ponuro. - Dużo też grup podróżnych zawdzięcza życie jednemu pośród nich, który prowadzi krowę lub kozę.

- Czy duszą tylko ludzi bogatych? Wuj zaprzeczył ruchem głowy.

- Oni nie rozróżniają bogatych i biednych. Dla nich jest to spełnienie obowiązku, jaki narzuca im religia.

- Nie rozumiem, dlaczego wybrałeś to bardzo trudne zadanie likwidacji właśnie tych ludzi.

- Sądzę, że Bóg zrobił to za mnie - odparł z prostotą i Brucena wiedziała, że wuj w to wierzy.

Kiedy obudziła się Amelia, powrócili do tematu drzew i kwiatów.

Wielu ludzi, których mijali na początku swojej podróży, szło pieszo ciągnąc za sobą jucznego konia lub osła załadowanego bagażem.

Dwa dni później zobaczyli Loharów na zgrabnych, drewnianych furach, inkrustowanych mosiądzem i z mosiężnymi ćwiekami, których kola miały cyzelowane znaki zodiaku.

Brucena wykrzyknęła na ich widok, więc wuj objaśnił:

- Wozy wloką się od wioski do wioski, ponieważ Loharowie zajmują się swoim starodawnym handlem narzędziami.

- Czy podróżują po całych Indiach? Loharowie są wędrowcami, ponieważ w szesnastym wieku, kiedy to ich radża Pratap Singh został pokonany przez muzułmanów, ich szczerp złożył ślubowanie, że jego ludzie nigdy nie będą żyli w radżastanie, aż Pratap Singh znowu zostanie królem. Ciągłe mają nadzieję, że pewnego dnia on wróci.

Dzięki takim opowieściom czas nie dłużył się Brucenie. W nocy spała spokojnie śniąc o alei mango, drzewach figowych i małych wioskach, gdzie starsi gromadzili się w cieniu drzew, a nagie dzieci bawiły się ze sobą na wyschniętej, brunatnej ziemi.

Gliniane chaty, woły ciągnące ciężkie drewniane pługi, niespodziewany widok kępy kwitnącego hibiskusa, zapach palonego drewna i zapach kwiatów, a czasem melodia grana na flecie - to wszystko miało w sobie urok, którego Brucena nie potrafiłaby nigdy opisać komuś, kto sam tego nie widział.

Niekiedy zatrzymywali się na dłużej w wiosce. Wuj robił naradę ze starszymi mieszkańcami lub otrzymywał raport od oficera dystryktu.

Młodzi Anglicy z podziwem przyglądali się Brucenie, kiedy się pojawiała, ale ogarniał ich smutek, gdy odjeżdżała pozostawiając ich samych sobie, borykających się z problemami i kłopotami, które bezustannie narastały dzień po dniu, w małych hinduskich skupiskach, rozsianych na obszarze setek mil.

W końcu, gdy zdawało się już, że przemierzyli ogromne odległości, wjechali do falistej krainy Gwalior, mającej zupełnie inny charakter od tych, które dotąd mijali.

Były tu rzeki i dużo więcej drzew niż gdzie indziej. W oddali wyłoniła się urwista krawędź czerwonego fortu. Wyglądał on groźnie na tle położonego niżej miasta.

Fort miał swoją długą, ponurą historię. Kobiety z kasty Rajput podpały się w jego murach. Mogołowie uśmiercali więźniów, podając im sok z maku zmieszany z trującymi kwiatami.

Brytyjczycy kilkakrotnie zdobywali fort i zwracali prowincji Sindii.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu - odezwał się wuj patrząc w dal - że zbliżamy się do stolicy dynastii barbarzyńskich książąt, którzy, tak jak Atylla, wybrali na miejsce swojej rezydencji coś w rodzaju piekła dla diabłów.

- Uważaj na słowa, kochanie - błagała Amelia.

- Znienawidziłem Gwalior - odparł - kiedy pierwszy raz tu przyjechałem. Zanim dotarłem do obozu, banda złodziei ukradła jeden z moich najlepszych dywanów i mosiężne klamry spinające pale namiotu!

Sposób, w jaki mówił, wywołał śmiech obu pań.

- Pozwolę sobie was ostrzec - powiedział poważnym tonem. - Pamiętam radzę, który przyjechał tutaj kilka lat temu, by złożyć hołd ówczesnemu maharadży Gwalior, który potem miał jego wszystkie klejnoty, stroje i kosztowną broń.

Amelia przyłożyła rękę do szyi mówiąc:

- Żałuję, że wzięłam ze sobą perły.

- Ten sam radza - ciągnął dalej jej mąż - stracił także pięć koni i ostrzegł mnie, że powinienem obciąć ogony wszystkim moim koniom, bo w przeciwnym razie na pewno zostaną wypłoszone z obozu i przepadną w mrokach nocy.

- Czy od tamtej pory nic się nie zmieniło? - spytała Amelia.

- Nie byłbym tym wcale zdziwiony - odparł. - Chociaż wydaje mi się, że jako goście lorda Rawthornela, będziemy raczej bezpieczni. Jednak złodzieje znajdują się wszędzie. Radzę wam obu trzymać wartościowe przedmioty zawsze przy sobie.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego mi wcześniej tego nie powiedziałaś - odparła Amelia z żalem.

Roześmiał się.

- Obawiałem się trochę, że jeśli to zrobię, możesz w ostatniej chwili zrezygnować z podróży. Ponieważ chciałem być w Gwalior, nie mogłem urazić rezydenta mówiąc mu, że przyjechałem tylko w interesach. Pomyślałem więc, że najlepiej, jeśli nic wam nie powiem.

- To było niegrzeczne z twojej strony, kochanie - powiedziała do męża.

Jednak oboje z Brucena wiedzieli, że tak naprawdę nie była zła.

Przywitani zostali imponująco. Strzelano z broni, a lord wyjechał im naprzeciw z żołnierzami kawalerii trzymającymi proporce. Ludzie w mieście rzucali kwiaty na powóz i olbrzymi tłum wiwatował, kiedy zbliżali się do pałacu.

Stare miasto Gwalior znajdowało się półtorej mili od nowego miasta Lashkar - obozu nazwanego tak przez poprzedniego wojowniczego maharadżę, kiedy w 1809 roku rozbił tu swe namioty.

Rozpoczął budowę stałej warownej budowli otoczonej przez tak gęsty park, że jak to opisano Brucenie, tygrysy wędrowały przez niego sądząc, że znajdowały się jeszcze na swoim dzikim terytorium!

Pałac robił wielkie wrażenie. Był obrosnięty tropikalnym pnączem z liśćmi w kolorze purpury.

Grzmiało bębnienie olbrzymiej liczby kotłów i ryczały trąby; potem, w towarzystwie lorda Rawthorne'a, minęli pałac i dojechali do niewielkiego domku dla gości, w którym mieli zamieszkać.

Kiedy wysiedli z powozu, Brucena pomyślała, że mimo denerwującego spojrzenia, którym obdarzył ją lord, pomimo tego wszystkiego, o czym opowiadał jej wuj o Gwaliorze, cieszyła się, że tu przyjechała.

Lord zdawał się być w swoim żywiole. Najwyraźniej otrzymał on *carte blanche* od maharadży, by przyjąć swych gości tak, jak sobie tego życzył. Do ich dyspozycji pojawiła się cała armia służących, a pokoje Bruceny i Amelii obficie udekorowano kwiatami.

- Trzeba przyznać, że o wszystko zadbał - powiedziała Amelia, kiedy razem z Brucena szły do swych sypialni, by odświeżyć się po podróży. - Jestem przekonana, że gdybym przyjechała tu sama. Williamem, nie zostalibyśmy przywitani równie uroczyście.

Brucena roześmiała się.

- Przynajmniej na coś się przydałam. Amelia spojrzała na nią z uwagą.

- Lord całkiem dobrze się prezentuje i sędzę, że jest bardzo bogaty.

- Jeśli starasz się być swatką, to nie trać czasu - odparła Brucena. - Prawdę mówiąc budzi on we mnie odrazę.

- Pozycja angielskiego lorda jest bardzo wysoka - powiedziała Amelia.

- To prawda - zgodziła się Brucena - ale jako Angielka nie życzę sobie mieć zaplanowanego małżeństwa, więc przestań intrygować, Amelio! Jeśli zdecyduję się zostać czyjąś żoną, chcę się najpierw zakochać.

- Pozwolę sobie na inne intrygi! - wybuchnęła Amelia. - W diademie wyglądałabyś przepięknie!

- Ty również - zripostowała Brucena. - Ale zamiast rozglądać się za francuskim księciem lub przynajmniej hrabią takim jak twój ojciec, wybrałaś angielskiego oficera, który mieszka w dzikim Saugorze!

- To prawda! - przytaknęła Amelia. - Ale William jest inny i o wiele bardziej atrakcyjny od jakiegokolwiek mężczyzny na świecie. I zapewniam cię, że nie znajdziesz nikogo jemu równego.

- Cokolwiek byś mówiła, będę nadal szukała w nadziei, że znajdę drugiego Williama! - odcięła Brucena i poszła do sypialni.

Czekały tam na nią dwie hinduskie pokojówki. Kiedy zdejmowała czepek, zauważyła leżącą karteczkę na toalecie.

Domyśliła się, kto ją mógł napisać i nie wzięła do ręki, zanim nie zmieniła sukni.

Potem niechętnie sięgnęła po nią czując, że lord Rawthorne już ją osacza używając metod, które z pewnością będzie stosować w ciągu całego jej pobytu.

Rozumiała usilne zapewnienia Amelii, że stanowi on bardzo dobrą partię i że każda inna dziewczyna na jej miejscu ośmielałaby go w nadziei, że zaproponuje jej małżeństwo.

Brucena miała niejasne uczucia co do jego osoby. Wiedziała jedynie, że nie tylko uważa go za człowieka niesympatycznego, ale że wyjątkowo go nie lubi.

Była tego pewna, kiedy zobaczyła jego oczy wpatrzone w nią przy powitaniu. Uświadomiła sobie, gdy ujął dłoń prowadząc do domku dla gości, że wystarczała jego bliskość, a skóra jej cierpła.

- To nie ma sensu i jestem przekonana, że nie powinnam dopuszczać do takich sytuacji - powiedziała sobie. - Nie dam się wymanewrować tak, żebyśmy zostali sam na sam.

Wiedziała, że właśnie do tego będzie dążył. Otworzyła list, zastanawiając się, co miał jej do przekazania.

Pomyślała, że pismo lorda było właśnie takie, jak je sobie wyobrażała: grube i rozwlekłe, a wiadomość napisana w sposób nakazujący docenienie treści.

Witaj, moja wyśniona księżniczko. Liczyłem godziny czekając na twój przyjazd, a teraz całuję twą dłoń na powitanie i mam nadzieję na dużo więcej.

Brucena odłożyła list na toaletkę i stanęła tyłem do lustra.

- Dziękuję bardzo - powiedziała w urdu do swoich dwóch pokojówek, które zachichotały z zadowolenia, ponieważ odezwała się w ich rodzinnym języku.

Ukloniły się i złożywszy ręce razem, dłoń w dłoń, opuściły pokój.

Salon, który znajdował się w środkowej części budynku, zdobił olbrzymi żyrandol. Później Brucena dowiedziała się, że był on charakterystycznym elementem wystroju głównego pałacu.

Poprzedni maharadża lubował się we wszystkim, co świeciło i nie tylko żyrandole, ale nawet przeszklone meble mieniły się kawałkami kryształów i połyskiwały złotem.

W bawialni podano zimne napoje i bardzo smaczne, małe kandyzowane owoce. Amelia z żalem stwierdziła, że są one niezwykle tuczące. Był tam również lord Rawthorne, który wydawał się wyższy i jeszcze bardziej zwalisty niż w Saugorze.

- Jutrzejszy dzień zaplanowałem bardzo interesująco - powiedział. - Ale pomyślałem, że dziś wieczór wolą państwo odpocząć po podróży, więc zjemy obiad tutaj en familie, chociaż oczywiście Jego Wysokość pragnie was poznać.

- Miło nam to słyszeć - odpowiedziała grzecznie Amelia.

- Uwielbiam polowanie na tygrysy - ciągnął lord zwracając się do Williama Sleemana. - Chciałabym wiedzieć, czy panowie zechcieliby wziąć udział w podobnej imprezie podczas tego pobytu. Mógłbym naturalnie zorganizować ją i pod koniec dnia gwarantuję kilka niezłych sztuk.

Lord rozgadał się o swych celnych strzałach i zwierzętach, które udało mu się upolować, lecz Brucena przestała się temu przysłuchiwać.

Patrzyła na wypełniony kwiatami ogród, obszar wokół pałacu zapelniony gościnnymi domkami i zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała sposobność, by pójść do miasta i zobaczyć ludzi.

Być może, jeśli tylko się jej poszczęści, znowu ujrzy małego chłopca, którego nie potrafiła zapomnieć.

Jednakże zdawała sobie sprawę, że będą odcięci od jakichkolwiek kontaktów ze zwykłymi ludźmi. Kiedy tak dalej rozmyślała otwarły się drzwi i zaanonsowano czcigodnego Richarda Cavendisha, rezydenta Gwalior.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że czuł się niezwykle rozdrażniony faktem, że kapitan Sleeman, któremu zakazał brania do niewoli i nękania thagów w prowincji Gwalior, pojawił się tutaj osobiście.

Nie miał jednak zamiaru zachować się prowokująco, chociaż wyraz jego twarzy i ton jego głosu najwyraźniej wskazywały, że nie mogli oczekiwać miłego powitania.

- Jestem tak zaskoczony pana niespodziewaną wizytą, Sleeman - powiedział - że moje uczucia są raczej umiarkowane!

- Nie sposób było odrzucić tak wspaniałomyślnego zaproszenia lorda Rawthorne'a - odparł pogodnie wuj. - Wraz z żoną mamy też wspaniałą okazję pokazać kawałek Indii mojej kuzynce, która niedawno przyjechała do nas z Anglii. Chciałbym ją przedstawić.

Pan Cavendish przywitał się z Brucena. Pomyślała, że uczynił to raczej niechętnie i żeby zrobić przyjemność wujowi, zadała parę pytań na temat prowincji Gwalior, na które zmuszony był odpowiedzieć.

Na szczęście w tym momencie lord Rawthorne zaprosił rezydenta na obiad i kiedy panie oddaliły się na spoczynek przed posiłkiem, Amelia powiedziała Brucenie:

- Ta długa podróż chyba najbardziej była warta tego, by zobaczyć rozdrażnienie pana Cavendisha. Nigdy nie przypuszczał, że William przybędzie do jego prowincji. Znalazł się w sytuacji, kiedy nie może nakazać mu wyjechać!

- Uważam go za okropnego człowieka - odparła Brucena - niezależnie od faktu, że pozostawił thagom tak wiele praw.

- Zgadzam się z tobą - odparła Amelia. - Jednak przez wzgląd na Williama musimy starać się być dla każdego miłe.

A to, pomyślała Brucena z zamarłym sercem, dotyczyło także lorda Rawthorne'a.

Kolacja odbyła się w całkowitym spokoju, bowiem wszyscy byli wyczerpani podróżą. Przed końcem lord nakłonił ich jednak, by wyszli na werandę i spojrzeli na światła miasta, rozciągającego się poniżej wielkiego urwiska na tyłach domku i na krajobraz, który sięgał horyzontu.

Ściany skalne nad wąwozem, owocowe gaje mango i wijąca się rzeka urzekały pięknem na tle zachodzącego słońca.

Zaczęły pojawiać się co chwila nowe gwiazdy i Brucena wiedziała, że to wszystko byłoby dla niej ekscytujące i romantyczne, gdyby tylko lord nie skorzystał ze sposobności zbliżenia się do niej bez wyraźnego powodu i nie zaczął rozmowy sam na sam.

- Mam pani tyle do pokazania, do opowiedzenia - odezwał się głosem tak cichym, by tylko ona mogła go usłyszeć.

- Dziś jestem zbyt zmęczona, by czymkolwiek się cieszyć.

- Czy dotarł do pani mój list?

- Tak.

- Chciałem napisać o wiele więcej, ale pomyślałem, że lepiej to powiedzieć.

- Tego, mam nadzieję, pan nie robi.

- Nie będzie pani w stanie mnie powstrzymać.

- Wobec tego będę bardzo zła.

- Czy wywołam w pani złość, jeśli powiem, że przez panią nie zaznałem spokoju od czasu naszego pierwszego spotkania w Saugorze? - spytał. - I że tylko dzięki wyobrażeniu jak trzymam panią w ramionach mogłem zasnąć?

Brucena odeszła kilka kroków, a on idąc za nią mówił:

- Czy teraz jest pani zła?

- Tak! Bardzo! Nie wolno panu się spoufalać aż do tego stopnia! To jest oburzające, zwłaszcza po tak krótkiej znajomości.

- Mnie wcale nie wydaje się krótka. Mam wrażenie, że znam panią od lat i szukałem jej przez całe życie.

- Znamy się od czterdziestu ośmiu godzin.

- Jeśli byłoby to czterdzieści osiem minut lub czterdzieści osiem lat, czułbym tak samo - odparł.

Jego twarz znajdowała się bardzo blisko jej twarzy, a ponieważ nie miała pojęcia, jak poradzić sobie w tej sytuacji, pospiesznie ruszyła przez werandę w stronę kuzynki Amelii, która właśnie rozmawiała z majorem Huntleyem.

- Jestem zmęczona, Amelio - powiedziała. - Myślę, że ty także. Powinniśmy się już położyć.

- Masz rację, Bruceno. Jutro będzie co zwiedzać. Dobranoc lordzie Rawthorne i dziękuję za miłe i wyśmienite powitanie.

Skłoniła się. - Dobranoc, majorze. Obaj mężczyźni uklonili się i Brucena zrobiła to samo. Wtedy lord wyciągnął rękę, jakby chcąc ją zatrzymać.

- Chciałbym z paną porozmawiać. Czy musi pani już iść? - spytał.

- Przykro mi, ale powieki opadają mi ze zmęczenia - odparła i pospieszyła za Amelią.

Sypialnie obu pań znajdowały się w przeciwległej części domku.

- Lord Rawthorne najwidoczniej się w tobie strasznie zakochał - odezwała się Amelia.

- Za dużo sobie pozwala i mówi rzeczy, o których nie ma prawa nawet wspominać - zauważyła Brucena.

- Obiecuj mi jedno.

- Co takiego?

- Jeśli ci się oświadczy, nie odmówisz od razu, ale to przemyślisz. Powinnaś zdać sobie sprawę, że to małżeństwo byłoby dla ciebie wspaniałe. Zapewniam cię, że chociaż z Williamem znaleźlibyśmy kilku atrakcyjnych mężczyzn, których mogłabyś zaakceptować, to nie mieliby oni tak wysokiej pozycji społecznej, jaką ma lord Rawthorne. Nie posiadają nic prócz pieniędzy, które zarobią.

- Mówiłam ci już, czego chcę - odparła Brucena.

- Nie proszę cię, żebyś wyszła za mąż dla pieniędzy i pozycji - powiedziała Amelia po chwili - ale mogłabyś przynajmniej spróbować odnaleźć miłość tam, gdzie te rzeczy są razem.

Brucena roześmiała się.

- Teraz, droga Amelio, jesteś typową Francuzką! - pocałowała ją i poszła do swego pokoju. Spojrzała przez okno w ciemną noc.

- Przypuśćmy, że nigdy się nie zakocham - myślała.

- To niemożliwe, żeby cokolwiek innego mogło mnie zadowolić niż to, o czym teraz marzę.

Wiedziała, że przyszłość stanowi dla niej tajemnicę. Nie chciała bowiem wracać do Szkocji, do swego krytycznie usposobionego ojca i zazdrosnej macochy.

Nie miała jednak szansy, by na zawsze zostać u Sleemanów. Wiedziała też, że nie bacząc na protesty, Amelia nie pozwoli jej doglądać dziecka tak jak planowała. Kuzynka już nawet poczyniła pierwsze kroki w szukaniu dobrej hinduskiej niańki, sprawdzonej w innych angielskich domach.

Kiedy Brucena zaczęła protestować, powiedziała:

- Naturalnie możesz pomagać mi w opiece nad dzieckiem. Oczywiście będę chciała być z nim jak najczęściej. Równocześnie jednak nie chciałabym zanudzać

William i wiem, że chociaż dziecko będzie go cieszyć, przyjdą chwile, gdy zapragnie mieć mnie tylko dla siebie.

- Właśnie wtedy mogę zajmować się dzieckiem - odparła stanowczo Brucena.

- Z pomocą niańki. Nie bądź śmieszna, Bruceno. Jesteś zbyt młoda i zbyt atrakcyjna, aby poświęcać się pracy przy dziecku. To o mężczyznach powinnaś myśleć, u szczególnie o tym, który pragnie w przyszłości być twoim mężem.

- Chyba że ten wzór wszelkich cnót przekręci się - roześmiała się Brucena. - Tak czy inaczej mogę się do czegoś przydać.

Była pewna, że Amelia na nic podobnego jej nie pozwoli i że, jeśli ta raz wybierze odpowiednią niańkę, stanie się oczywiste, że nie będzie mogła dłużej być goszczona.

Jednym wyjściem było oczywiście zachęcanie lorda Rawthorne'a, który bynajmniej nie potrzebował żadnej zachęty z jej strony.

- To absurd! - wyszeptała w ciemność. - Nie potrafię go polubić i żadne perswazje nie pomogą!

Usłyszała bzyczenie moskitów i prędko wezwała pokojówki, by pomogły się jej rozebrać. Potem wśliznęła się pod rozciągniętą moskitierę, weszła do łóżka i prawie natychmiast zasnęła.

* * *

Nie było wątpliwości, że lord Rawthorne dwoił się i troił, by zabawić Brucenę i wcale nie udawał, że ktokolwiek inny się dla niego liczy.

To w jej twarz wpatrywał się, kiedy przyozdobione srebrnym malunkiem słonie ustawiały się w porannej mgle dźwigając srebrne siodła. Wyglądały jak kolosalne, prehistoryczne stwory. Unosząc olbrzymie przednie nogi, rozhuśtywały siodła.

Dzwoniąc, przechodziły dwa szwadrony lansjerów z Gwalior. Podniecony tłum czekał na najwspanialszy moment parady.

Unosił się zapach mokrej ziemi, ponieważ cały obszar nasączono wodą z setek worków z kozłej skóry, aby niewielkiej grupie osób siedzącej na cennych, perskich dywanach, w cieniu jedwabnych parasoli nie dokuczał kurz.

Huczały kotły, wyły trąby i teraz z mgły wyłonił się słoń dużo większy od innych i obwieszony klejnotami; na swym grzbiecie dźwigał złote siodło, w którym usadowił się młody maharadża.

Jeden rzut oka na brzydką twarz o złych oczach przekonał Brucenę, że wuj William w niczym nie przesadził, kiedy o nim opowiadał.

Maharadża zszedł po drabinie ze słonia. Wszyscy zostali mu przedstawieni przez lorda Rawthorne'a. Zastanawiała się, czy wiwatujący na jego cześć ludzie rzeczywiście uznawali go za swego władcę wybranego przez bogów.

Maharadża dołączył do gości, usiadł na krześle, które niewątpliwie miało być tronem, osłoniętym od słońca złotym parasolem i wachlarzem z pawich piór.

Widowisko rozpoczęło się.

Maszerowali żołnierze, kuglarze, czarownicy, zaklinacze węzów i akrobaci.

- Wieczorem przewidziane są występy tancerek - odezwał się lord. - Bez wątpienia innych mężczyzn będzie to bawić, ale moje oczy będą patrzeć wyłącznie na panią.

Proszę mi opowiedzieć o zaklinaczach węzów - odparła Brucena, starając się zmienić temat rozmowy.

Oczarowała mnie pani w sposób, którego nie potrafię opisać - powiedział. - Znalazłem się w pułapce bez wyjścia.

Mimo czynionych prób, Brucenie nie udało się skłonić go do odwrócenia od siebie uwagi.

Gdy widowisko skończyło się i jechali z powrotem do pałacu, myślała, że to co obejrzała było fascynujące, nic brakowało jej objaśnień wuja lub chociażby majora Illuntleya. Cały czas musiała słuchać lorda Rawthorne'a, zamieniającego wszystko co powiedziała w wylewne komplementy.

- Muszę przyznać - powiedział do niej wuj, kiedy zostali sami - że nasz gospodarz nie ukrywa swoich uczuć, Bruceno. Sądzę, że skoro jesteś pod moją kuratelą powinienem spytać go, czy ma wobec ciebie uczciwe zamiary!

Drażnił się z nią. Podniosła się jak oparzona:

- Nie wolno ci tego robić, wuju! - zaprotestowała, ze wszystkich sił staram się, by zniechęcić milorda. Jeśli chcesz znać prawdę, to całkiem popsuł mi ranek. Chciałam poznać historię wydarzenia, które oglądałam, a on nie zajmował się niczym innym tylko wymyślaniem śmiesznych komplementów. Jeden nawet dotyczył moich rzęs!

- Są długie! - odparł Sleeman.

Tupnęła nogą i po chwili zdała sobie sprawę, że wuj tlroi sobie z niej żarty, więc roześmiała się.

- Brucena jest chyba niepoważna! - powiedziała Amelia. - Powinna być zadowolona, że mężczyzna, który w tej części świata stanowi najlepszą partię, leży u jej stóp, a nie raz po razie dawać mu kosza. Powinieneś poważnie z nią porozmawiać, Williamie.

- Wydaje mi się, że takie zachowanie związane jest z jej kornwalijskim pochodzeniem - odparł. - Ono czyni każdego z nas idealistą. Ja postanowiłem sobie nigdy się nie ożenić, aż spotkałem ciebie i zobacz, czym to się skończyło!

- Och, Williamie, czy naprawdę byłam tą, której szukałeś przez te wszystkie lata będąc kawalerem? - spytała Amelia przechodząc jak zwykle na francuski, gdy była wzruszona lub podekscytowana.

- Jakże często ci mówię o tym, co czułem - zaczął jej mąż lekko zmieszany obecnością Bruceny - i będę ci mówił, ale nie w tej chwili. Musimy przygotować się do lunchu. Poznamy wszystkich ważnych dostojników Gwalior, wśród których ciężko znaleźć jedną sympatyczną osobę.

- Bądź ostrożny, Williamie - pospiesznie doradziła Amelia. - Wiesz, że tutaj nawet ściany mają uszy!

Dopiero późnym popołudniem, kiedy upał zelżał, Brucena opuściła swój pokój kryjąc się pod parasolką i poszła do ogrodu.

Zależało jej, aby lord Rawthorne nie dowiedział się dokąd miała zamiar się udać. Była przekonana, że narzuciłby jej swoje towarzystwo, a to zepsułoby wszystko.

Miała ochotę na samotną przechadzkę. Nie chciała rozmawiać o tym, co zobaczy, nie chciała także, by ktoś żonglował jej słowami robiąc z nich osobiste aluzje.

Wybrała drogę niewidoczną z okien gościnnego domku, między rzędami barwnych tropikalnych krzewów.

Ogród był po prostu samą rozkoszą; tonał w egzotycznych kwiatach, a rozsiane po ziemi płatki uroczynu, wijącego się wokół pni drzew, przypominały gwiazdki śniegu.

Bez wątpienia otoczenie pałacu było piękne. Pomyślała z żalem, że usposobienie mieszkańców Gwalior nie pasowało do tak pełnego uroku miejsca.

Ogrodzony teren, w którym znajdował się pałac, był obszerny i zamieszkanym przez wielu ludzi. W Indiach panował zwyczaj, że właściciele pałacu zatrudniali okolicznych mieszkańców, którzy w różny sposób służyli maharadży.

Służący, w specjalnych mundurach, szli od niskich domków znajdujących się na tyłach w stronę pałacu. Zauważyła żołnierzy z parady; teraz wolni od służby, obozowali w namiotach.

Potem dojrzała bawiące się dzieci pośród niskich zabudowań, z których dolatywały kuchenne zapachy, a gęsty, biały dym wisiał ponad nimi nieporuszony najmniejszym nawet podmuchem wiatru.

Na pierwszy rzut oka większość spośród maluchów nie wydała się Brucenie tak ładna jak dzieci, które pamiętała z Saugoru, a szczególnie jedno, o którym ciągle myślała i szczerze pragnęła odnaleźć.

Byli tam mężczyźni z dużymi wąsami i brodami. Zajęci rozmową siedzieli pod konarami drzew bananowca.

Przypominali jej ludzi, których widziała z małym, płaczącym chłopcem.

Dwóch z nich miało na głowach turbany, dhotis przepasane białą szarfą, a pod spodem pan talony; na nogach sandały z zawiniętymi szpicami.

- Opis ten pasuje do milionów mężczyzn w całych Indiach - powiedziała do siebie.

Kilku podniosło na nią wzrok, kiedy przechodziła. Nie zdradzali oni szczególnego zainteresowania jej osobą. Szła dalej pośród drzew, krzewów i kwiatów. Odnalazła następne małe domki rojące się od ludzi.

Wiedziała, że to w Indiach jest typowe. Przeczytała kiedyś, że hinduscy służący, jeśli mieli dość szczęścia, by pracować u boku maharadży lub w Kompanii Wschodnioindyjskiej, pomagali członkom swojej rodziny liczącej nawet kilkanaście osób, które zawsze trzymały się blisko niego.

Wiele wynędzniałych psów kręciło się tam w poszukiwaniu resztek jedzenia. Płatała się także koza walcząca o źdźbło trawy na wyschniętej do cna, spragnionej wody ziemi.

- Muszę wracać - pomyślała. - Powinnam się przebrać do obiadu.

Wtem, gdy rozchyliła kępę kwitnących krzewów dojrzała gromadkę dzieci bawiących się pod drzewami.

Były w różnym wieku. Przyglądając się im zauważyła, że są to sami chłopcy; co jeden to ładniejszy.

Miała wrażenie, choć nie mogła być całkiem pewna, że pochodzili z wielu odmiennych kast.

Beztrasko baraszkowali i bawili się, jedni patyczkami, inni kamykami.

Kiedy stała tak obserwując, zobaczyła chłopca, którego poszukiwała - choć, prawdę mówiąc, to on ją dostrzegł pierwszy.

Stał z boku, jakby obawiał się lub wstydził podejść do pozostałych.

Potem jego oczy o niezwykle poważnym spojrzeniu, zdające się wypełniać całą jego buzię, rozjaśniły się. Podszedł do niej tak, jak to zrobił tamtego poranka.

Teraz nie miał kwiatka, ale kiedy był już blisko podniósł rączkę na wysokość piersi i z ubranka wyciągnął to, czego z drżeniem serca oczekiwała - mały, różowy motek jedwabiu.

Uklękła tak, żeby jej twarz znalazła się na wysokości jego twarzyczki,

- Masz swoją różową piłeczkę - powiedziała w urdu. - Szukałam cię.

Uśmiechnął się do niej. Wiedziała, że chociaż mówiła zacinając się, zrozumiał ją.

- Gdzie jest twoja matka? - spytała.

Przez chwilę patrzył zdziwiony; potem, kiedy powtórzyła pytanie, jego twarz wykrzywił ból, a oczy napęłniły się łzami.

- Mama umarła - mówiąc to przyłożył rączkę do szyi.

Brucenie zaparło dech w piersiach. Właśnie odkryła to, co chciała wiedzieć.

W pośpiechu zastanawiała się, co mogła jeszcze powiedzieć lub mu dać, gdy jakiś wewnętrzny głos ostrzegł ją, że to może być niebezpieczne.

Nie potrafiła chłopca zostawić i tak po prostu odejść, skoro ją rozpoznał. Czowała też, że jej ufał.

Nie miała przy sobie nic innego, więc zdjęła jedwabny, biały wisiołek przymocowany do parasolki, po czym włożyła go do małej rączki.

Patrzył z zachwytem.

- Dla ciebie!

- Moje? - zapytał tak jak kiedyś.

- Tak, twoje.

Najwyraźniej był uradowany, jednak nie podbiegł do dzieci, by razem z nimi baraszkować, jak wtedy, tylko ścisnął w rączce wisiołek i różową piłeczkę.

Wtedy właśnie wśród drzew, gdzie bawiły się dzieci, zobaczyła mężczyznę nadchodzącego z naprzeciwka.

Był wysoki i miał wąsy. Po jego turbanie i białej przewiązce dhoti poznała, że był jednym z tych, którzy towarzyszyli chłopcu na drodze.

Wstała i umyślnie odezwała się po angielsku:

- Do widzenia.

Chłopiec zdawał się tak pochłonięty nowym trofeum, że nie zwrócił na nią uwagi. Odchodząc miała świadomość, że zbliżający się mężczyzna obserwował ją.

Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że gdyby spojrzała na niego, w jego twarzy malowałaby się podejrzliwość.

Rozdział piąty

Brucenie wydawało się, że zabawa nigdy się nie skończy.

W każdej innej sytuacji byłaby zachwycona i rozradowana tańcem kobiet, zaklinaczami węzów i dziwnymi instrumentami muzycznymi, których melodię zaczynała doceniać.

Zamiast tego z wielkim trudem odsuwała od siebie nieustannie powracający niepokój o małego chłopca, ponieważ była pewna, że należy on do thagów.

Nie miała wątpliwości, że mężczyźni, z którymi widziała go na drodze, zamordowali wielu ludzi. W książkach wyczytała, że zostawiali oni przy życiu dziecko, jeśli było ładne.

Ale z jakiego powodu - tego nie chciała dociekać.

Maharadza, który ich przyjął, robił wrażenie księcia z bajki i tylko jego twarz zdradzała, że musiał być raczej nikczemnikiem, a nie bohaterem.

Jego ubranie było wyszywane złotem, a achkan zdobiony klejnotami, których jeszcze więcej tkwiło w turbanie. Prócz wielkiej egrety wpiętej w złotą tkaninę, i sznury diamentów jak perły oplatały go niczym świąteczną choinkę.

Bizuteria mieniła się na jego palcach, błyszczała złotem na pasie, a rękojeść szpady wysadzana była diamentami i zakończona pojedynczym emeraldem wielkości rupii.

Kiedy Brucena zobaczyła zwoje wspaniałych pereł na jego szyi pomyślała z ironią, że Amelia miała całkowitą słuszność sądząc, iż jej dwa sznury nie zwrócą niczyjej uwagi.

To, że maharadza najwyraźniej przygotował się na przyjęcie gości lorda Rawthorne'a, nie przeszkadzało jej sądzić, że ma w sobie coś diabelskiego. Była także pewna, że większość uczestników przyjęcia nie tylko spokojnie tolerowała thagów, ale być może nawet popierała ich.

To odebrało jej całą radość z pięknego wieczoru, tryskającego barbarzyńskim przepychem. Gdziekolwiek zwracała oczy, widziała twarzyczkę małego chłopca i łzy napływające do jego oczu, kiedy mówił:

- Mama umarła.

W pewnej chwili usłyszała z ulgą, że wuj zwrócił uwagę na zmęczenie żony i polecił jej odpocząć.

- Nie ma potrzeby, aby pani także nas opuszczała - odezwał się pospiesznie lord Rawthorne do Bruceny, kiedy wstała.

- To prawda, jednak - zaczęła chłodno Brucena - jeśli pani Sleeman odchodzi, ja naturalnie muszę jej towarzyszyć.

- Ależ dlaczego? - spytał. - Jest mnóstwo innych osób do towarzystwa, jeśli tylko o to pani chodzi.

Nie zechciała łaskawie mu odpowiedzieć, lecz skłoniwszy się maharadży podążyła za Amelią, która w towarzystwie męża skierowała się w stronę drzwi.

Każdy kogo mijali składał dłonie w grzecznym geście i schylał głowę. Chociaż pozostali goście wydawali się okazywać szacunek, miała dziwne wrażenie, że wyraz ich oczu temu zaprzeczał i cieszyła się opuszczając wielki, żłobiony żyrandolami hal, w którym podejmował ich maharadża.

Pomyślała, że sam świecił się jak jego własne klejnoty, ale za tym kryła się jakaś ciemność i strach. Na samą myśl o tym dreszcz wstrząsał jej ciałem.

Na zewnątrz czekał na nich powóz, którym ruszyli z powrotem do domku. Przejechawszy kawałek drogi, do Bruceny dotarło, że nie ma z nimi majora Huntley'a.

- Przypuszczam, że tańczy na balu z dziewczętami - pomyślała z pogardą, ale po chwili stwierdziła, że jak naprawdę to inne powody mogły go też zatrzymać.

Prawie wcale nie widziała go tego wieczora.

Był obecny na obiedzie, który zamienił się w długą biesiadę, ale nie pamiętała, by siedział gdzieś w pobliżu na krytych satyną krzesłach, które ustawiono dokoła bogato złotanego tronu maharadży.

Z rozmów przy stole nie słyszała nic, prócz szeptanych jej do ucha komplementów lorda Rawthorne'a okazującego swe uczucie w sposób arogancki, impertynencki i oczywiście bardzo dla niego typowy.

- Przy każdym nowym spotkaniu, coraz mniej go lubię - pomyślała.

Zauważyła i była rozdrażniona tym, że Amelia z przyjemnością obserwowała zabiegi lorda. Wiedziała też, że nic bacząc na wszelkie argumenty, ta Francuzka była przekonana, że dla swojego własnego dobra Brucena powinna poślubić mężczyznę cieszącego się dużym autorytetem.

Dojeżdżając do domku dla gości, Amelia westchnęła.

- Ten wieczór był bardzo widowiskowy. Muszę przyznać, że czuję się zmęczona.

Czy bardzo, kochana? - spytał jej mąż.

- Nie - odparła Amelia - ale z prawdziwą radością położę się zaraz do łóżka.

- Wybaczysz mi, jeśli wrócę na przyjęcie? W przeciwnym razie, zrobimy afront naszemu gospodarzowi, który z pewnością zadał sobie dużo trudu, by nas zabawić.

- Nie bądź zbyt długo, mój drogi - odrzekła Amelia. - Chociaż przypuszczam, że i tak zasną nim wrócisz.

- Zrobię wszystko, by cię nie obudzić - obiecał. Pocałował żonę, powiedział dobranoc Bruce nie i kierując się w stronę powozu, zniknął w ciemnościach.

Brucena patrzyła za nim z konsternacją.

Miała zamiar skorzystać z okazji, by opowiedzieć mu o małym chłopcu, a teraz stało się to niemożliwe.

Nie miała ku temu sposobności, kiedy poprzednim razem wróciła do gościnnego domku, ponieważ musiała się przygotować na przyjęcie w pałacu.

- Muszę mu powiedzieć, muszę! - myślała, Jednak teraz nic nie mogła, więc poszła do sypialni. Tam czekały na nią pokojówki.

Pomogły jej zdjąć suknię. Niedbale rozczesywała włosy, myśląc o dziecku. Czowała, że nawet jeśli wuj dowiedziałby się o nim, nie byłby w stanie nic zdziałać.

- Ta sytuacja jest nie do zniesienia - pomyślała. Zdawała sobie sprawę, że w każdym innym okręgu, rezydent pozwoliłby dziecku, które zostało porwane w taki sposób, by wróciło do prowincji, gdzie dokonano przestępstwa.

Jednak było dla niej oczywiste, że pan Cavendish nie zrobiłby absolutnie nic, by pomóc wujowi, lecz przeciwnie, skutecznie utrudniałby mu działalność, którą wuj uznawał za swój obowiązek.

- Ta cała sytuacja jest przerażająca! - powtarzała w myślach.

Kiedy wyszły pokojówki, położyła się do łóżka. Nie mogła jednak zasnąć.

Wtedy, po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że być może znalazła się w niebezpiecznej sytuacji.

Wprawdzie tylko dała chłopcu w prezencie wisiołek od swojej parasolki, ale zapytała przecież o jego matkę. Jeśli chłopiec zostałby przepytany, nie znajdzie żadnego powodu, by nie powiedzieć prawdy, o co pytała go Angielka.

Nękała ją myśl, że mężczyzna, który szedł w ich stronę, dobrze wiedział, kim była i gdzie ją przedtem spotkał.

- Wie, że powiem o nim wujowi Williamowi i będzie się obawiał, że przestępstwo zostanie odkryte.

Potem tłumaczyła sobie, że ten podejrzany mężczyzna nie przejąłby się tym faktem. Nawet jeśli wiedział o nim wuj, to dopóki przebywał w Gwalior, nic mu nie groziło.

Przez jej myśli w kółko przewijały się wszystkie wydarzenia, aż poczuła się prawie jak miotający się na próżno ptak w klatce.

Leżała tak od dwóch, trzech godzin, nawet dłużej. Blask księżyca wpadał przez nie zasłonięte okna zamieniając wszystkie barwy w pokoju na kolor srebra.

Zza moskitiery to wszystko sprawiało na niej dziwne wrażenie. Było piękne i złowrogie zarazem.

Mimo bardzo silnego światła księżyca, cienie były czarne i wiele skrywały.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk.

Nie był zbyt wyraźny, ale odmienny od innych tonów nocy, które otaczały ją w ciągu kilku ostatnich godzin.

Nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego, ale wiedziała, że był inny od tamtych, które wplątały się w jej rozmyślenia, a jednak nie mąciły ich.

Poczuła, że się trzęsie, a skóra na karku cierpieje jej ze strachu, którego dotąd nie znała.

Usiadła na łóżku i w napięciu nasłuchiwała następnego odgłosu.

Nawet nie była pewna, czy był to ruch czy chód, czy po prostu coś, co wyczuła, ale mogłaby przysiąc, że dźwięk ten wywołany był przez człowieka.

Przeszło jej przez myśl, że mężczyzna, który przyprowadził chłopca do Gwalior, mógł uniknąć rozpoznania jedynie decydując się ją zabić.

Powiedziała sobie twardo, że zaczyna wmawiać w siebie bzdury.

Thagowie zabijali tylko podróżnych. Ale, żeby się uratować, czy nie posunąłby się aż tak daleko?

Znów zadrżała. Ciarki przeszły jej po plecach, a potem po całym ciele. Ogarnął ją paralizujący lęk, jakiego nigdy jeszcze nie czuła.

Usłyszała znowu ten dźwięk i teraz była przekonana, że to odgłos stąpania, cichy niby krok ducha, a jednak niewątpliwie ludzki. Zbliżał się do niej... wywołując strach... przerażenie...

Przez moment zdawało się, że w ogóle się nie ruszy i gdyby chciała uciec, jej ciało odmówiłoby jej posłuszeństwa.

Ostrożnie, poruszając się cicho, by nie być słyszaną, uniosła moskitierę od tej strony łóżka, która znajdowała się najdalej od okna i wysliznęła się.

Pod gołymi stopami poczuła miękkiego dywan i naraz stanęła, wahając się i nasłuchując na przemian. Dźwięk znowu się pojawił.

Przerażona do głębi, nie mogąc już nawet myśleć, przebiegła przez pokój, szarpnęła drzwiami i wyszła na ciemny korytarz.

Instynktownie wiedziała, że musi szukać pomocy, ile u kogo i gdzie, nie miała pojęcia.

Uciec, dokądkolwiek, aby dalej od koszmaru, który ją przerażał, od mordercy, który, była pewna, chce odebrać jej życie.

W korytarzu panowała kompletna ciemność. Zaczęła biec i uderzyła o barczystą, masywną postać. Pod wpływem przerażenia nie mogła wydobyć żadnego dźwięku przez ściśnięte gardło.

Czuła, że zamiast uciec śmierci, wpadła wprost na nią i nie ma już żadnej nadziei na dalszą ucieczkę.

Paralizujący strach spowodował, że cała drżąca, czekała już tylko na śmierć.

Wtedy opłotły ją ramiona. Nie potrafiła myśleć. To instynkt podpowiedział jej, że została ocalona.

Przywarła szaleńczo do mężczyzny, który trzymał ją w objęciach. Drżała jeszcze gwałtownie, lecz równocześnie gdzieś w głębi świadomości wiedziała, że zniknęło niebezpieczeństwo, którego się bała.

- Co się stało? - usłyszała szept tak cichy, że prawie niedosłyszalny.

Nie była w stanie odpowiedzieć, bo głos jej zamarł w gardle. Mogła jedynie spojrzeć w kierunku, skąd dochodziły słowa, a kiedy to zrobiła, usta mężczyzny przylgnęły mocno do jej ust.

Przez chwilę nie doznawała nic, nawet zdziwienia, tylko nagłą ulgę, która rozwiała paralizujący strach.

Potem, kiedy ramiona mężczyzny mocniej przygarnęły ją, usta Bruceny, dotąd zaciśnięte, odpowiedziały na gorący pocałunek. Jeszcze drżała, ale powoli lęk ustępował. Było to tak, jakby promienie słońca rozświetlały mrok nieba.

Ciepło, coś niezwykłego i cudownego bardzo wolno, lecz nieustępliwie przenikało jej ciało, przez piersi, potem ściśnięte gardło aż do ust.

Było to wrażenie tak doskonałe i tak odmienne od tego, co dotąd знаła i przeżyła, a zarazem tak porywające, że oddała się cała w jego władanie.

Przenikało każdą tkankę ciała i krążyło cudowną siłą w jej żyłach.

Stopniowo ogarniało ją złudzenie, że przestaje być człowiecza i zamienia się w boską istotę, bo jedynie bogowie mogli znać to upojenie.

Nie miała pojęcia, jak długo trwał pocałunek; wiedziała tylko, że ciemność i przerażenie odeszły i znalazła się w światłości pochodzącej z jej serca; była teraz częścią piękna muzyki, kwiatem wśród kwiatów i promieniem słońca.

Była bezpieczna, a zawsze tego pragnęła. Nie istniał już żaden lęk, Iain Huntley uniósł głowę i odezwał się głosem, który zmienił się nie do poznania:

- Moja najdroższa, moja słodka! Kochałem cię tak długo, a nie śmiałem ci tego wyznać.

- Ja... też cię kocham - drżącym głosem wyszeptała Brucena. - Nie... zdawałam sobie... sprawy, że to jest miłość.

Mówiąc to uświadomiła sobie, że właśnie dlatego nie lubiła lorda Rawthome'a, nie znosiła jego komplementów, a on sam wzbudzał w niej odrazę.

I dlatego także wzbierała w niej złość na Iaina Huntleya, kiedy okazywał dezaprobatę i miał zwyczaj odnajdowania jej w najbardziej krępujących sytuacjach. Dlatego tak za nim tęskniła, kiedy nie był w pobliżu.

Teraz nie potrafiła jednak myśleć tylko czuć. Zupełnie machinalnie zbliżyła się do niego jeszcze bardziej.

Całował ją. Pocałunki były długie i namiętne, a jej zdawało się, że serce wyrwie się do niego z piersi.

Cały świat zawirował wokół niej, migotał i lśnił blaskiem świec, jak żyrandole w pałacu maharadży.

W końcu, nie wytrzymując dłużej porywu tej nagłej ekstazy, oparła głowę na jego piersi. Odezwał się cichym głosem:

- Kocham cię, ale musisz mi powiedzieć, co cię tak zatrwożyło.

Wtedy zdała sobie sprawę, iż zapomniała, dlaczego wybiegła ze swojej sypialni, dlaczego była nieprzytomna z przerażenia i szukała bezpiecznego schronienia, by odnaleźć je w ramionach Iaina.

Kiedy to wszystko wróciło do niej, znowu poczuła przeszywający lęk. Odezwała się z wahaniem, a słowa drżały na jej ustach:

- Muszę... ci coś... bardzo ważnego... powiedzieć.

- Jestem gotów cię wysłuchać - odrzekł - ale nie tutaj. Najlepiej wróćmy do twego pokoju.

Mówiąc to wyczuł jej drzenie, więc spytał:

- Czy właśnie tam coś cię wystraszyło?

- Teraz... już nie... odkąd jesteś... ze... mną - odparła po chwili.

Objąwszy ją, poprowadził korytarzem i otworzył drzwi pokoju.

Lękliwie rozejrzała się dokoła, obawiając się zobaczyć postać przy oknie lub nóż w łóżku. Lecz niczego tam nie było. Nic prócz światła księżyca i zmiętej pościeli, odrzuconej na bok, kiedy wychodziła z łóżka.

Iain zamknął drzwi, po czym zapytał:

- Cóż cię tak zaniepokoiło, moja najdroższa? Westchnęła lekko. Nie był ubrany w wieczorowy mundur lansjerów bengalskich tak jak podczas obiadu u maharadży, lecz jak tubylec: miał turban i białe dhoti, co czyniło go łudząco podobnym do Hindusa.

Widząc jej zdumienie wywołane widokiem ubioru uśmiechnął się.

- Zapomniałem o wszystkim, prócz tego, że cię kocham.

- Celowo przebrałeś się za Hindusa?

Skinął twierdząco głową i odpowiedział z uśmiechem:

- W tym momencie oboje nie wyglądamy jak co dzień.

Jego słowa po raz pierwszy uświadomiły Brucenie jej własny wygląd. Nie miała na sobie przecież nic prócz cienkiego szlafrocza z batystu.

Instynktownie podniosła obie dłonie, jakby chciała ukryć się przed jego spojrzeniem, a on powiedział miękko:

- Wracaj do łóżka, ukochana. Wtedy porozmawiamy. Jakkolwiek to karygodny pomysł, ale muszę dowiedzieć się, co cię wystraszyło.

- Dobrze... oczywiście - zgodziła się.

Uniosła moskitierę, wskoczyła na łóżko i już miała schować nogi pod derkę, gdy ku jej zdumieniu, Iain chwycił jej rękę i gwałtownie wypchnął na podłogę.

Krzyknęła zdziwiona i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, gdy on schylony pod siatką powoli i ostrożnie ściągał prześcieradło.

Zobaczyła, jak znieruchomiał, po czym przesunął ręką do siebie, a w następnej chwili pochylił się do przodu.

- Co... to jest? Co... robisz? - wyszeptała śmiertelnie wystraszona.

Odsuwając się na bok zobaczyła, że major trzyma długi, zaostzony nóż. W drugiej ręce miał coś małego zielonego, co jeszcze ruszało się w ostatnich śmiertelnych skurczach.

Przez chwilę nie była zdolna nawet się poruszać. Przyciskając ręce do piersi z przerażeniem zobaczyła, że Iain trzyma węży. Podszedł do okna i wyrzucił go.

- Wąż! - wykrzyknęła. - Więc... tam coś... było! Wiedziałam... On... Jestem pewna... że on... miał zamiar... mnie zabić!

- Ale kto? I dlaczego? - spytał odwracając się od okna.

Zobaczyła jak chowa nóż.

- Dlaczego ciebie, moja złota?

- Właśnie... o tym... chcę... ci opowiedzieć - odparła. - Och, Iain... tak... się boję. Zabierz... mnie stąd.

Podbiegła ku niemu, a on wyciągnął ramiona.

Obejmując ją mocno, czując obok swego serca jej serce trzepoczące się dziko, wiedział, że opanował ją przemożny lęk, który sparaliżował mowę.

Już dobrze - powiedział łagodnie. - Jesteś bezpieczna. Zaopiekuję się tobą i nie będzie już żadnych węży - obiecuję ci!

- On jeszcze... raz... będzie próbował mnie zabić - powiedziała zduszonym, jakby dochodzącym z daleka, głosem. - On wie, że... rozpoznałam chłopca.

- O czym ty mówisz? - zapytał, a po chwili dodał: Sądzę, że nie będziesz chciała tutaj nocować. Doskonale to rozumiem. Znajdę dla ciebie inny pokój i opowiesz mi wszystko, ale najpierw...

Rozejrzał się z wahaniem dokoła i ku zdumieniu Bruceny wypuścił ją z uścisku, łagodnie sadzając na krześle.

Zdjął z głowy turban i wszedł do raczej prymitywnej łazienki, znajdującej się obok pokoju.

Był w niej zlew, kilka wiader zimnej wody i zbiornik przymocowany do ściany, pełniący rolę prysznica.

Brucena miotana strachem czekała, nie mając pojęcia co robi jej wybawca. Po chwili Iain wrócił owinięty w jedną ze specjalnych płacht znalezioną w łazience.

Każde miejsce przeznaczone do kąpieli zaopatrzone było w takie duże „ręczniki” po to, by po wzięciu prysznica można było się osuszyć, bez potrzeby dokładnego wycierania.

Iain bez swojego ubioru tubylca, wyglądał teraz jak zwyczajny Anglik.

Rozejrzał się po pokoju, wziął wiszący na krześle szlafrok, pozostawiony przez pokojówki i powiedział:

- Włóż to na siebie, kochanie. Znajdę dla ciebie inny pokój, lecz zanim wezwę służącego, musisz mi powiedzieć, co cię wystraszyło i dlaczego, na miłość boską, w twoim łóżku był wąż.

Spojrzała mu w oczy, po czym wstała i przytuliła się do niego.

- Obejmij... mnie! Obejmij mnie... mocno. Tak... się boję! Jeśli to nie byłby wąż, mógł to być nóż, albo... żółta... szarfa!

Głos jej się załamał przy ostatnich słowach i Iain zaczął ją uspokajać:

- Thagowie nie dotknęliby cię, moja droga. Jaki miałby powód?

- Właśnie... to mam zamiar... ci... powiedzieć. Westchnęła.

- Chciałam dziś wieczór powiedzieć wujowi Wiliamowi... ale wrócił na przyjęcie, a ja nie powinnam o tym rozmawiać w obecności Amelii. Opowiedz mi - powiedział.

Usiadł na krześle i posadził ją sobie na kolanach, tuląc w ramionach jak dziecko.

Położyła głowę na jego ramieniu, teraz mogła spokojnie zacząć opowieść.

Bliskość Iaina była dla niej cudownym uczuciem, a świadomość, że nic złego stać się jej nie może, odprężyła ją zupełnie. W skupieniu mogła mu opowiedzieć o małym chłopcu, który podarował jej kwiatek i któremu w zamian dała motek różowego jedwabiu.

Tłumaczyła dalej, jak potem widziała zapłakanego chłopca, kiedy jechała z powrotem do Saugoru i zapewniała, że thagowie musieli zamordować członków jego rodziny.

Przerwała, aby nabrać powietrza i dalej opowiedzieć tumowi, jak wciąż ukazywała się jej zroszona łzami twarzyczka chłopca. Przypuszczała, że musi on być gdzieś w Gawalior.

- I nie myślałam się. Och Iain... co się z nim stanie... jest z tymi okropnymi ludźmi... co oni mu... zrobią?

- Dokończ, kochanie - poprosił łagodnie. Czuła, jak wyprężył się, gdy opowiadała o ponownym potkaniu malca i rozmowie z nim, i o chwili, kiedy usłyszała dziwne dźwięki, i jak wystraszyła się, że mężczyzna, który widział ją rozmawiającą z dzieckiem, przyszedł, by ją zabić.

- On... chciał... to zrobić - powiedziała jękając się.

- Nie będzie tego już próbował - odparł Iain. - Znajdę ci inny pokój, najdroższa. Chcę, żebyś postarała się zasnąć. Wszystko będzie dobrze - obiecuję. Żałuję tylko, że wcześniej się o tym nie dowiedziałem.

- Obawiałam się, że pomyślisz, iż jest to tylko moja... wyobraźnia - odparła.

- Byłeś taki zdecydowany... by nie mówić mi... nic... o thagach.

- Czy wiesz dlaczego?

- Nie wiem.

- Dlatego, że wyglądałaś tak pięknie, młodo i niewinnie. Nie zniósłbym, żebyś słuchała opowieści mrozących krew w żyłach, o zwyrodnialcach. Chciałem, byś pozostała taką jak po przyjeździe, gdy patrzyłaś na Indie z niepokojem i ciekawością, jakby były one królestwem światła i słońca.

- Dla mnie są one tym nadal - powiedziała. - I... są... nawet bardziej piękne... teraz, ponieważ... odnalazłam ciebie.

Milczał, więc po chwili spytała:

- Kochasz mnie? Czy naprawdę mnie... kochasz?

- Nie potrafię powiedzieć jak bardzo - wyznał. Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. Ciągnął dalej:

- Z początku walczyłem z uczuciem, mówiłem sobie, że jestem za stary i zbyt pochłonięty swoimi obowiązkami. Jednak moja droga, nie znalazłem sposobu pokonania miłości.

- Wiedziałałam, że tak jest, gdy odnajduje się... miłość, lecz Amelia stale powtarzała mi, że muszę poślubić lorda Rawthorne'a. Teraz wiem, że nienawidziłam go, ponieważ byłam już, chociaż nieświadomie... zakochana w... tobie,

- Jesteś tego pewna?

- Zupełnie... całkowicie pewna!

Spojrzała na niego i w świetle księżyca zobaczył wyraz jej oczu. Pomyślał, że nawet jeśli zawsze były piękne, teraz miłość dodała im niesłychanego blasku.

Nie mogąc się oprzeć, znowu ją całował namiętnie i gwałtownie, aż poczuł, że zadrżała, a jej oddech stał się szybszy.

- Kocham cię! - powiedział drżącym głosem. - Ale, moje kochanie, muszę chronić cię nie tylko przed thugami i złoczyńcami, którzy są wokół nas, ale także przed wszelkimi plotkami. Jeśli ktoś by nas teraz zobaczył, nasze zachowanie zostałoby potępione!

- Nie obchodzi mnie, co o nas myślą czy mówią - odparła. - Kochasz mnie i tylko to ma znaczenie.

I zawsze tylko to będzie ważne - odpowiedział Iain. - Chcę, żebyś poszła do łóżka. Postawił ją na ziemi i wstał.

- Teraz stań w drzwiach i udawaj przestraszona, a ja wezwę służbę.

Na długo zostawisz mnie samą?

- Pójdę tylko do pobliskiej izby, gdzie znajduje się kilku służących.

Pocałował ją szybko i gdy stanęła w otwartych drzwiach, wyszedł na korytarz krzycząc.

W kilka chwil potem wrócił z kilkoma zaspanymi ludźmi.

- Usłyszałem krzyk Mem Sahib - wyjaśnił Iain. - Powiedziała mi, że znalazła węża pełzającego w jej łóżku. Zabiłem go i wyrzuciłem przez okno. Znajdziecie go na werandzie.

Jeden ze służących wyjrzał przez okno.

- To niebezpieczny wąż, sahibie. Bardzo niebezpieczny.

- Wiem o tym - powiedział Iain krótko. - Musimy też znaleźć dla panienki inny pokój. W tym nie będzie mogła dziś zasnąć.

- Oczywiście, sahibie. Za tamtymi drzwiami znajduje się wolny pokój.

- Przeszukasz pomieszczenie - nakazał Iain - bardzo dokładnie, ponieważ Jego Wysokość będzie bardzo zły, że jeden z gości został zastraszony w taki sposób.

To dało zamierzony efekt i służący oddalili się. Zanim Brucena razem z Iainem doszli do wolnej sypialni, miała pewność, że został przeszukany każdy kąt.

Pokój był bardzo podobny do tego, który opuściła. Kiedy służący odchodzili kłaniając się nisko, spytała:

- Co zamierzasz zrobić?

- Powiem ci potem. Nie zapomnij rano okazać wielkiego przygnębienia po tym wydarzeniu. Sądzę, że powinnaś się przygotować do wyjazdu natychmiast

po śniadaniu. Teraz obudzę twojego wuja i powiem mu, dlaczego należałoby to zrobić.

- Nie martw Amelii - odparła prędko.

- Dowie się tylko tyle, że wystraszył cię wąż. Resztę zostaw mnie.

Przytrzymał mocno dłoń Bruceny patrząc na jej usta. Myślała, że ją pocałuje i zaraz uświadomiła sobie, że tuż za drzwiami są służący.

- Dziękuję... - powiedziała miękko.

- Kocham cię! - odparł.

Ale więcej niż mówiły usta wypowiedziały jego oczy.

Kiedy została sama, czuła się tak szczęśliwa, że nic nie miało dla niej znaczenia prócz tego, że Iain ją kochał.

Usłyszała jego głos i zorientowała się, że służący stali teraz na straży pod jej oknem. Domyśliła się także, że będą spali na korytarzu przy drzwiach pokoju.

Teraz już nie bała się, że będzie zamordowana. Wiedziała, że Iain zaopiekuje się nią.

Kiedy zasypiała powtarzała ciągle jego imię, jakby stało się jej talizmanem.

* * *

Wychodząc na zakrytą werandę, Brucena nie była zaskoczona, że po opowieści Iaina, wuj, siedząc przy śniadaniowym stole, powiedział do niej:

- Jest mi bardzo przykro, Bruceno, że w nocy wystraszył cię wąż. Już wcześniej mówiłem, że te wszystkie pnącza i krzaki zostały posadzone zbyt blisko domków. Gdybym tu mieszkał, ściąłbym je co najmniej na odległość trzydziestu stóp od zabudowań.

- Myślę, że w stosunku do szkarłatnych pnączy to świętokradztwo, ale szczerze mówiąc, wuju Williamie, węże mnie przerażają!

Nas wszystkich, ale Huntley powiedział mi, że byłaś bardzo dzielna - odparł.

- Tym niemniej sędzę, że czas wracać. Amelia już spakowała swoje rzeczy. Powiem służącemu, żeby twoim pokojówkom nakazał zrobić to samo.

Chociaż Amelia nie pojawiła się na śniadaniu, Brucena nie znalazła sposobności, by porozmawiać z wujem, ponieważ w pokoju przez cały czas przebywali służący.

Była wczesna pora i pomyślała, że jest jeszcze dość czasu na spakowanie rzeczy, pożegnanie lorda Rawthorne'a i wyruszenie w drogę, zanim zacznie się dokuczliwy upał.

Nie zdumiało ją wcale, gdy wkrótce na werandzie zjawił się lord, najwyraźniej rozzłoszczony ich nagłą decyzją wyjazdu.

Przybrał srogą minę. Pomyślała, że przypomina tajfun.

- Co to wszystko znaczy, Sleeman? - odezwał się podniesionym głosem. - Dowiedziałem się, że wyjeżdżacie.

- Nasz pobyt był niezwykle udany - odparł wuj. - Jednak proszę zrozumieć, że obowiązki w prowincji nie pozwalają mi na długą nieobecność.

- Spodziewałem się, że zostanie pan przynajmniej na tydzień.

- To by nam bardzo odpowiadało, ale właśnie przybył z Saugoru posłaniec z wiadomością o pewnych problemach na południu i dlatego muszę wracać, by się z nimi uporać.

- Czy nie lepiej udzielić komuś pełnomocnictwa w tej sprawie? - spytał lord ze złością. - Nie ma ludzi niezastąpionych.

- Sam tak myślałem. Nie sprawdziło się to jednak. Pełnię funkcję nie tylko nadinspektora, lecz także sędziego i dowódcy okręgu. Zajmuję tyle stanowisk, że jak tylko jestem nieobecny, zaraz zaczynają za mną tęsknić!

Mówił jowialnie, ale lord zapytał nadąsany:

- Domyślam się, że nie zostawi pan tu swojej żony i panny Nairn?

- Obawiam się, że nie. Jeśli chodzi o żonę, to jak pan wie, w obecnym stanie powinna przebywać zawsze ze mną, a Brucena nie tylko służy jej pomocą, ale jest pod naszą opieką, a tak cennego skarbu nie wolno nam porzucać!

Wuj stroił sobie żarty, lecz Brucena była pewna, że zamierzał być bardzo stanowczy i lord Rawthorne nie znajdzie już żadnych argumentów, by wpłynąć na zmianę postanowienia o powrocie do domu.

W końcu odjazd nastąpił trochę później niż planowali, a lord dotrzymywał im towarzystwa rzucając groźne spojrzenia.

Z oddziałem kawalerii Gwalior i własną eskortą, przy owacjach gminu, ich wyjazd był imponujący, mimo to obyło się bez kotłów i trąbek. Kiedy przejechali kawał drogi i zostawili za sobą czerwony fort, Brucena zauważyli, że wuj odetchnął z ulgą tak samo jak ona.

Martwiła się, że nie było Iaina. Szukała go wśród Mnierzy jadących w tyle na koniach. W końcu nie wytrzymała dłużej i spytała:

Czy major Huntley nie wraca z nami? Pojechał na polowanie. Umówił się wczoraj i nie chciał zawieść organizatorów - wyjaśnił wuj.

Brucena westchnęła głęboko, ale nie chciała dalej pytać w obecności lorda Rawthorne'a, który jechał obok powozu.

Kilka mil od Gwalior zatrzymano konie, gdy nadeszła chwila pożegnania z gospodarzem.

Była to niezwykle miła wizyta, lordzie Rawthorne powiedziała Amelia wyciągając rękę. - I jest mi bardzo przykro, że nie mogliśmy zostać dłużej.

Mnie również! - odrzekł. - Czy mogę mieć nadzieję, że znowu wolno mi będzie odwiedzić państwa wkrótce? Powiedzmy za tydzień.

Po krótkiej chwili Amelia powtórzyła:

- Za tydzień, lordzie Rawthorne?

- Zamierzam kontynuować moją inspekcję, którą przerwałem w Saugorze, kiedy zaprosiłem państwa do Gwalior.

Uśmiechnął się i patrząc na Brucenę ciągnął dalej:

- Jak już kiedyś wspomniałem, mam przyjaciół w Bhopal i w kilku innych miejscach, które chciałbym zwiedzić. Planuję więc wyruszyć raz jeszcze w roli badacza Indii i mam nadzieję, że będziecie państwo dla mnie tak życzliwi jak podczas mojej ostatniej wizyty.

- Ależ tak, tak, oczywiście. Będziemy oczekiwać pana z niecierpliwością - odpowiedziała Amelia.

- Ufam, że pani również - zwrócił się do Bruceny. Ponieważ nie widziała sensu, by się z nim spierać, odparła:

- Mogę mieć tylko nadzieję, że zastanie pan nas w domu.

- Nie omieszkam być cierpliwy i zaczekam.

Nie było wątpliwości, że w słowach tych kryło się dużo więcej, a Brucena nie miała żadnych trudności ze zrozumieniem ich ukrytego znaczenia.

Chciała odpowiedzieć - Może pan sobie czekać do samej śmierci! - Zamiast tego jednak, zmusiła się do uśmiechu.

Gdy ruszyli i zaczęli coraz bardziej oddalać się, odprowadzani spojrzeniem lorda Rawthorne'a, odezwała się nieomal w panice:

- Gdzie jest Iain? Dlaczego nie ma go z nami? Mówiąc to zdawała sobie sprawę, że wypowiedzenie imienia majora Huntleya i emocja w głosie sprawiły, że małżonkowie patrzyli na nią ze zdumieniem.

Potem, kiedy rumieniec oblał jej policzki, wuj odezwał się pogodnym głosem:

- Więc tak się sprawy mają! Muszę przyznać, Bruceno, że udało ci się mnie zaskoczyć!

Jej twarz była purpurowa, kiedy powiedziała:

- Nie chciałam, żebyście dowiedzieli się... tak... prędko, ale nie mogę znieść myśli, że zostawiliśmy go w takim miejscu.

- Huntley da sobie radę - uspokoił ją, lecz Amelia wydała okrzyk.

- Bruceno, a tak chciałam, żebyś została „Jaśnie panią”!

Jeśli chcesz znać moje zdanie - zaczął jej mąż - Hiuccna podjęła całkiem słuszną decyzję. Huntley jest więcej wart niż tuzin zaciętrzewionych lordów

takich jak Kuwllhorne, tym bardziej że ze swoją inicjatywą ma przed sobą wielkie perspektywy.

Amelia nie słuchała; patrząc na Brucenę powiedziała:

Moja kochana, wiesz, że pragniemy tylko twojego szczęścia.

Jestem szczęśliwa... bardzo... bardzo... szczęśliwa - odparła Brucena. - Ale... wolałabym być teraz z nim.

Przestań się o niego martwić - odrzekł wuj. - I bądź ostrożna w słowach - służba wszystko słyszy! Pamiętaj, że został na polowaniu. Brucena otworzyła szeroko oczy.

- Chcesz powiedzieć...? - zaczęła.

- Chcę powiedzieć, że skoro masz zostać żoną Iaina, musisz nauczyć się trzymać język za zębami i wiedzieć, w jakich okolicznościach przybierać kamienny wyraz twarzy.

- Tak... tak... oczywiście - odparła pokornie. - Przepraszam, że byłam taka głupiutka.

Równocześnie szalała z obawy, że coś się może przydarzyć Iainowi.

Jak wuj mógł go zostawić samego w Gwalior z tymi wszystkimi thagami? Przecież oni z największą chęcią udusiliby go żółtą szarfą, włożyli węża do jego łóżka albo zamordowali w jakikolwiek inny sposób, który im akurat przyjdzie do głowy!

Na noc zatrzymali się na stacji pocztowej w Gwalior. Brucena nie mogła zasnąć i leżała modląc się, żeby nic nie stało się Iainowi i żeby prędko znowu znaleźć się w jego ramionach.

Czuła, że z każdą chwilą potęguje się jej miłość do niego. Zdawało się, że Iain wypełnia teraz cały jej świat i nie istnieje nic oprócz niego.

Nawet piękno Indii przestało ją wzruszać. Potrafiła myśleć wyłącznie o jego głosie, opiekuńczych ramionach i namiętnych ustach.

Podróżując nazajutrz nie mogła pojąć, w jaki sposób jej kuzyni potrafili zachować taką obojętność, podczas gdy w niej z każdą milą, która oddalała ich do Gwalior, narastało napięcie i obawa o nieobecnego mężczyznę, którego kochała.

- Zawsze sądziłam, że miłość to radosny stan ducha - myślała - a nie męka gorsza od jakiegokolwiek fizycznego bólu. Moje serce cierpi o wiele bardziej niż ciało.

Dotarli do granicy prowincji Gwalior, a wąwozy i wzgórza pozostały za nimi. Dookoła rozpościerała się równina. Było tu tylko więcej gajów mango. Wkrótce mieli ujrzeć pola trzciny cukrowej, którą uprawiał wuj.

Tuż przy granicy znajdowała się stacja pocztowa bardziej wygodna od pozostałych, w których nocowali w czasie podróży do Gwalior. Tutaj, ku jej zdumieniu, mieli pozostać na dłużej.

Wuj wyjaśnił, że ma się spotkać z kilkoma urzędnikami, ponadto chciałby zrobić inspekcję na granicy obu prowincji.

Była przekonana, że miał na uwadze thagów. Lecz to nie umniejszało dręczącej ją troski, ponieważ Iaina zostawiono samotnie i wciąż nie dawał o sobie żadnego znaku życia.

Amelia była bardzo zadowolona z kilkudniowego wypoczynku. Wstawała z łóżka dopiero na lunch, potem siadała na werandzie, poza zasięgiem głosu męża, który gościł miejscowych dostojników. Cieszyła się samą jego obecnością.

Brucena robiła przejażdżki w eskorcie dwóch kawalerzystów, jeśli wuj nie mógł dotrzymać jej towarzystwa. W chłodniejsze dni chodziła na spacerówkę wzdłuż drogi koło budynku poczty, patrząc zawsze w kierunku Gwalior i zastanawiając się, co wydarzyło się podczas minionych dni. Od Iaina wciąż nie było żadnych wieści.

Z pewnością, powiedziała do siebie w złości, wuj powinien był zostawić mu przynajmniej dwóch sipajów.

Wiedziała już teraz, że Iain pracował w przebraniu.

Zdawała sobie sprawę, że przyjęcie zaproszenia na polowanie było tylko pretekstem. Nie mogła znieść myśli, że w przebraniu Hindusa przebywał wśród tłumów starego miasta w Gwalior.

Co się stanie, gdyby został odkryty?

Prawie była chora ze zmartwienia. Nie potrafiła jednak stłumić w sobie natrętnych myśli i przestać się modlić za niego w każdej minucie dnia i nocy.

Postanowiła ufać w jego bezpieczny powrót, tak jak to z pewnością czynił wuj.

Było jednak tyle spraw, które mogły ułożyć się źle! Jakże to miało znaczenie, pytała siebie, że thagowie działali i po tysiącokroć się pomnażali, skoro Iain się tak narażał?

Wuj William może sobie poświęcać życie w walce z thagami, ale ją obchodziło bezpieczeństwo jednego mężczyzny - tego, którego kochała.

* * *

Już cztery dni trwał ich pobyt w domku stacji pocztowej, ale ani wuj, ani Amelia nie wykazywali najmniejszej chęci do dalszej podróży. Pogrążona w beczynności Brucena czuła, że jest bliska obłądki, kiedy machinalnie zaczęła iść w stronę drogi.

- Dokąd się wybierasz, kochanie? - spytała Amelia siedzącą w cieniu werandy.

- Na spacer.

- Nie wolno ci się oddalać.

- Muszę się gdzieś ruszyć - odparła Brucena. - Czuję się tu jak w klatce. Ciągłe rozmyślania i obawa o niego doprowadzają mnie do szaleństwa!

- Tak mi przykro, kochanie. Gwarantuję ci jednak, że nic mu się nie stanie.

- Skąd możesz wiedzieć, że nic mu nie jest? Jeśli nie przyjedzie wkrótce, sama zacznę go szukać.

- Sądzisz, że go rozpoznasz? - spytała łagodnie Amelia.

- Poznałabym go wszędzie. Instynktownie wiedziałabym, gdzie się znajduje - odparła.

Poczuła napływające do oczu łzy. Trochę tym zawstydzona zaczęła iść po spalonej skwarem drodze.

- Nie oddalaj się zbyt - ostrzegła ją Amelia - bo będę musiała wysłać za tobą eskortę.

Ogarnięta złością nie odezwała się. Kiwnęła tylko głową i odeszła.

Nie zatroszczyła się nawet, by założyć kapelusz.

I tak nikt jej nie widział. Wzięła tylko parasolkę przeciw słońcu, którego żar o tej porze dnia zaczynał wygasać.

Patrzyła na wyschniętą, długą drogę niknącą gdzieś za horyzontem. Pomyślała, że może Iain jest w tej chwili w więzieniu w Gwalior. A może torturują go, by zdradził poznane tajemnice thagów?

Jeśli tak było, czy ktoś potrafi mu pomóc? Skoro go nikt nie uratuje, umrze, tak samo jak wielu ludzi w służbie dla Indii.

- To nie jest tego warte! Nie jest! - krzyczało jej serce.

A jednocześnie zdawała sobie sprawę, że dla mężczyzn takich jak wuj William i Iain, Indie warte były każdej ofiary, jakiej zażądały; nawet gdy stawką było własne życie. - I ja nie mam na to żadnego wpływu - pomyślała.

Głęboko zamyślona coraz bardziej oddalała się od domu. Nie chcąc jednak martwić Amelii, postanowiła wracać.

Patrząc w stronę Gwalior zaczęła modlić się o ocalenie Iaina.

- Miej go Boże w swej opiece i sprowadź do mnie. Kocham go. Bez niego moje życie utraci wszelki sens. Ocal go, Boże, ocal!

Pod wpływem napięcia łzy znowu stanęły jej w oczach.

Wtem, gdy już pewnym krokiem szła z powrotem w kierunku poczty, dostrzegła mężczyznę z małym dzieckiem. Wyłonili się zza kępy rozłożystych drzew rosnących na niewielkim wzniesieniu. Pędzili przed sobą jakieś zwierzę.

Była to duża koza z wymionami pełnymi mleka. Poruszała się wolno i z oporem, jakby nie miała ochoty do dalszej drogi.

Brucena spojrzała na nią przelotnie, a potem na mężczyznę ubranego w brudne, podarte dhoti, a w końcu na dziecko.

Nagle stanęła jak skamieniała.

Mały chłopiec był w łachmanach. Nie miała jednak wątpliwości: ta sama mała, śliczna twarzyczka i wielkie oczy z drugimi rzęsami.

Przez chwilę myślała, że zapewne śni, a jej wyobraźnia przesłania rzeczywistość. Potem znowu przyjrzała się mężczyźnie w podartym dhoti, a z jej krtani, w zapadającą ciemność wyrwał się cichy okrzyk radości.

Zaczęła ku nim biec.

Rozdział szósty

Wróciłeś! Wróciłeś! Nic ci się nie stało!

Tego wieczora Brucena powtarzała ciągle te same słowa, które wymówiła podbiegając do Iaina. Nie bacząc na jego wygląd, rzuciła mu się na szyję.

Patrzył w jej oczy, a ona nie zważała na jego zabrudzoną skórę ani łachmany, które miał na sobie.

Wiedziała tylko, że do niej wrócił. Reszta była nieważna.

- Wszystko w porządku - odparł łagodnie. - Prosiłem, byś mi zaufała.

- Lękałam się..., tak bardzo się lękałam! Przyprowadziłeś ze sobą chłopca. Jak tego dokonałeś?

Mówiąc to spojrzała na swego małego przyjaciela. Na ustach miał ten sam uśmiech, którym obdarzył ją podczas pierwszego spotkania.

- Na imię mu Azim - powiedział Iain. - Jest bardzo zmęczony. Przeszliśmy długą drogę w krótkim czasie.

- Ocaliła was koza - odparła Brucena przyciszonym głosem.

- Widzę, że sporo się nauczyłaś - zauważył. - Teraz jak najszybciej powinniśmy schronić się w bezpiecznym miejscu i...

Brucena przerwała:

- To znaczy, że... oni za wami idą?

- Nie sądzę. Wolę jednak nie ryzykować.

- Wuj William i Amelia są w budynku poczty - wyjaśniła. - Chodźmy tam prędko.

Tworzyli razem śmieszna gromadkę: Brucena ubrana była w gustowną, letnią suknię. Iain i chłopiec wyglądali jak najbiedniejsi z biednych, a koza pędzona bez litości naprzód, wyglądała jakby za chwilę miała rozłożyć się na drodze.

Azima oddano pod opiekę osobistego służącego wuja, Nasira, który pracował u niego do wielu lat. A kiedy Iain zniknął, by umyć się i przebrać, Brucena usiadła obok Amelii, by zwierzyć się jej ze swojego lęku.

- To jest rzeczywiście przerażające, ma pauvre petite - zgodziła się Amelia. - William bardzo się smuci, gdy okazuję swój niepokój o niego. I ty będziesz musiała ukrywać swe emocje. Ja uczę się tego od pierwszego dnia małżeństwa.

- Udręką jest świadomość, że ktoś, kogo kochasz znajduje się w niebezpieczeństwie, a ty w żaden sposób nie możesz temu zaradzić - odezwała się Brucena ściszym głosem.

- Cest l'amour - odparła Amelia uśmiechając się. - Miłość jest cudowna, ale może stać się także męką.

- To właśnie odkryłam - wyznała Brucena. Ciekawe, ile jeszcze cierpień czeka ją w przyszłości, jeśli nie nauczy się opanowywać lęku za każdym razem, gdy Iaina przy niej nie będzie.

Wszedł na werandę ubrany w angielski mundur. Wyglądał teraz jak typowy Anglik i wydawało się jej nieprawdopodobne, że przed chwilą miał na sobie ubiór Hindusa z najniższej kasty.

Kiedy jej oczy napotkały jego spojrzenie, wiedziała już, że dopóki będzie ją kochał, potrafi znieść wszystko. Po kolacji, którą Iain ubarwił opowiadając najbardziej niezwykle przygody, które przeżył wspólnie z Azimem podczas podróży z Gwalior do granicy, służący sprzątnęli ze stołu.

Kiedy Amelia z mężem opuścili jadalnię i nie było nikogo w pobliżu, Brucena odezwała się cicho:

- Opowiedz mi, co naprawdę się wydarzyło. Iain usiadł przy niej i ujął jej dłoń.

- Nie chciałbym być niemiły, moja droga. Powinnaś jednak wiedzieć, że nigdy nie opowiadam o moich osiągnięciach, kiedy mam je już za sobą. Nie dlatego, że a nie ufam, lecz dlatego, że kampania, w którą zaangażowałem się wraz z twoim wujem, skupia w sobie wicie spraw, które raczej należałoby przemilczeć.

- Ale ja chcę się czegoś dowiedzieć - nalegała. - W jaki sposób uratowałeś Azima? Z pewnością ten mężczyzna, który go porwał, a mnie próbował zabić, usiłował cię powstrzymać przed zabraniem chłopca.

Iain milczał przez chwilę, potem powiedział:

- Chciałbym rozwiać twoje obawy. Ten człowiek już nigdy nie będzie ci zagrażał! Nigdy!

- Chcesz powiedzieć, że... on nie żyje?

- Tak - odpowiedział wolno. Brucena krzyknęła.

- Zabiłeś go! Jakże się z tego cieszę! Przynajmniej nie będzie już porywać małych dzieci i mordować ich matek.

- Robisz wrażenie żadnej krwi, moja droga - odezwał się wuj.

Wszedł tak niespodziewanie, że Brucena drgnęła, usłyszawszy jego głos.

- Jestem pewien, że Iain opowiada ci rzeczy, o których najlepiej zapomnieć.

Brucena odebrała tę uwagę jak pewnego rodzaju zarzut i szybko odpowiedziała:

- Dokładnie to samo powiedział Iain. Postaraj się jednak zrozumieć moją wielką ciekawość.

- W naszej sytuacji wszelkie emocje należy od siebie odsuwać - odparł. - Chciałbym później porozmawiać z Iainem. Daję ci dokładnie dwadzieścia

minut na zakończenie spotkania z nim. Potem radzę ci, moja droga, pójść do łóżka.

- Ależ wuju Williamie! To nie fair! - sprzeciwiła się. - Dwadzieścia minut, po tym, jak czekałam na niego cztery dni?... To były dla mnie całe wieki!

- Dwadzieścia minut! - powtórzył stanowczo, po czym wyszedł.

Odwróciła się do Iaina. W jej oczach kryło się pytanie. Wziął ją w ramiona, przyciągnął do siebie blisko i powiedział:

- Po co tracić czas na rozmowy, skoro tak bardzo pragnę cię całować jak niczego jeszcze w swoim życiu nie pragnąłem?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Całował ją dotąd, aż wszystko prócz niego zdawało się nie istnieć.

Poczuła jakby znowu prowadził ją ku słońcu i natchnieni byli przez samego Boga.

Jakby straciła ludzką naturę. Zapomniała co to lęk i bojaźń. Wiedziała tylko, że w ramionach Iaina stała się nieśmiertelna tak jak i on.

Jej serce biło pod wpływem uniesienia, które było tak uduchowione i doskonałe, że sami stali się częścią tej doskonałości.

Kiedy tylko odjął usta od jej warg, powiedziała przytłumionym głosem:

- Kocham cię! Kocham... i wciąż trudno mi uwierzyć... że to spotkało mnie tak... nagle.

- Ja miałem to samo wrażenie przez ostatnie dni - odparł. - A jednak, gdy wspinałem się z Azimem po skałach, kiedy przeprawialiśmy się przez rzeki i ukrywali w gajach drzew mango, czułem cały czas, że jesteś przy mnie, prowadzisz mnie i wspierasz. Bez względu na to, jak wielkie niebezpieczeństwa napotykaliliśmy po drodze, zawsze dawałem sobie radę, ponieważ ty tam byłaś.

- Czy... naprawdę... tak czujesz?

- Nie potrafię nawet wypowiedzieć, jak wielka zmiana we mnie nastąpiła - odrzekł. - Wcześniej zawsze byłem sam. Wyobrażałem sobie, że zawsze będę samodzielny i niezależny od nikogo. I oto wszystko się zmieniło, ponieważ poznałem pewną piękną dziewczynę, która rzucała na mnie gniewne spojrzenia.

- Byłam zła - przyznała. - Ale ten stan nie trwał długo. Potrzebowałam twojej akceptacji.

- Teraz wiesz, że nie tylko cię akceptuję, ale uważam za najcudowniejszą istotę, jaka kiedykolwiek żyła na tym świecie. Nic już nie ma prawa nas dzielić.

- Jakże mogłoby być inaczej? - spytała. - Proszę... proszę, uważaj na siebie. Jeśli cokolwiek ci się nianie...

Wzdrygnęła się z lekka.

- Musisz nauczyć się ufać mi.
- Wiesz, że chciałabym, ale to bardzo trudne, ponieważ tak się o ciebie martwię.

Ucałował ją i niechętnie wypuścił z ramion, mówiąc:

- Czeka na mnie mój dowódca.
- To nie fair ze strony wuja, że mi cię zabiera.
- Sądzę, że ma mi coś ważnego do przekazania. Ja także mam coś dla niego.
Będziesz musiała nauczyć się być żoną żołnierza, kochanie.

Znowu porwał ją w ramiona. Niedługo potem, zastanawiając się nad słowami Iaina, Brucena czuła, że wszystko co powiedział, było celowe i dokładnie przemyślane.

Jako żona żołnierza miała nauczyć się, że mąż na pierwszym miejscu stawia swoje obowiązki.

* * *

Leżąc na małym, wąskim karpoy, czyli miejscowym łóżku, w pokoju niewiele większym od kwadratowego, drewnianego kufra, Brucena postanowiła, że nawet wbrew sobie, z chęcią wypełni wszystkie obowiązki, które będą do niej należały, jak długo pozostanie żoną Iaina.

Często myślała o mężczyźnie, którego kiedyś poślubi, jednak zawsze był on postacią anonimową. Nawet w wyobraźni jego twarz była nieokreślona.

Teraz Iain wypełniał jej świat. Wiedziała, że jej marzenia ziściły się, a wszystkie ideały zmaterializowały w jednej osobie.

- Musiałam instynktownie wiedzieć, że on istniał gdzieś na tym świecie i czekał na mnie - myślała. - I mimo argumentów Amelii, nie potrafiłam rozważyć możliwości małżeństwa z lordem Rawthorne'em ani z kimkolwiek podobnym do niego. Przypuszczam, że w głębi serca nigdy nie pragnęłam osiągnąć wysokiej pozycji społecznej, władzy czy majątku i zawsze wiedziałam, że miłość była jedyną rzeczą wartą posiadania.

Przypuszczała, że jak mówił William, miała romantyczne, kornwalijskie usposobienie, które ukształtowały zasłyszane w dzieciństwie od matki bajki o tamtejszych bohaterach.

Gdzieś głęboko w jej podświadomości bohaterowie ci pozostali. Dlatego mężczyźni, których spotykała w swoim życiu, a także ten, o którym marzyła, porównywani byli do rycerzy, świętych i wojujących królów, wywodzących się z kornwalijskiej historii.

Z pewnością pewnego dnia - dumiała - wuj dianie jednym z nich, dzięki walce z thagami. Być może Iain odegra inną rolę w dziejach Indii.

Zacząła się nad tym zastanawiać, kiedy zmorzył ją sen. Gdy znowu otworzyła oczy, był już ranek.

Wyskoczyła prędko z łóżka. Wiedziała, że im szybciej »tę ubierze, tym wcześniej ujrzy Iaina, a niczego bardziej nie pragnęła.

Teraz, gdy nareszcie był już razem z nimi, mogli prędko wyruszyć do Saugoru.

Gdy dotarli do białego bungalowu w kwitnącym ogrodzie, witana uśmiechami i ukłonami służby, Brucena miała wrażenie, że powróciła do własnego domu.

Służący wuja, Nasir, od razu zasugerował, że kucharz byłby szczęśliwy mogąc adoptować Azima.

Był on najwyraźniej przywiązany do swej żony, która duła mu dwóch synów i trzy córki. Wszystkie dzieci już nu tyle dorosły, aby opuścić dom.

- Ona jest wciąż młodą kobietą - powiedział Nasir - ale nie może mieć już więcej dzieci, a to dla nich wielki smutek.

- Na pewno z nimi porozmawiam - obiecał wuj. - lubię ich bardzo i chyba Azim byłby z nimi szczęśliwy.

Brucena szczerze zasmuciła się, ponieważ Azim był tuk miłym małym chłopcem, że sama chciałaby go adoptować. Z drugiej strony, taki pomysł stwarzałby niezliczone problemy. Zdawała też sobie sprawę, że dziecko będzie najszcześniejsze z ludźmi ze swojej kasty.

Mały Hindus wyglądał radośnie podczas całej podróży do Saugoru, ponieważ nie zmuszano go do rozmowy. Ponadto Brucena odkryła, że Iain niósł go przez Większą część drogi z Gwalior. Pozwolono mu także usiąść w powozie obok stangreta, co zadowalało zarówno chłopca, jak i Amelię, dla której zostało w powozie więcej miejsca.

Brucena także przyczyniła się do jej wygody, mówiąc, że najchętniej pojechałaby konno, tak jak Iain.

Wybrano dla niej konia. Aby ochronić się przed kurzem, oboje jechali powozem lub obok niego, podczas gdy oddział kawalerii podążał z tyłu.

Choć Brucena cieszyła się mogąc podróżować przy boku Iaina, to kiedy już dotarli na miejsce, czuła radość.

Wygodnie urządzona sypialnia wydała się jej bardzo atrakcyjna w porównaniu z surowością pomieszczeń budynków pocztowych, a osobista pokojówka przygotowała wszystko, łącznie z kąpielą, na którą w podróży nie mogli sobie pozwolić.

Założyła jedną ze swoich najpiękniejszych sukien i poszła do salonu, ciesząc się na spotkanie z Iainem. Dowiedziała się, że Amelia nie zasiądzie z nimi do kolacji, ponieważ położyła się już do łóżka.

Ku jej radości Iain był sam. Ubrany w wieczorowy mundur bengalskich lansjerów, wyglądał bardzo uroczyście. Kiedy spojrzał w jej oczy, nie potrafiła się opanować i zaraz do niego podbiegła.

Położył ręce na jej barkach i trzymając ją na odległość wyciągniętych ramion powiedział:

- Jak zawsze, moja najdroższa, wyglądasz pięknie!

- Mam nadzieję, że nigdy nie zmienisz zdania - odparła. - Czy nie rozbudzę w tobie próżności, gdy powiem, że uważam cię za bardzo przystojnego mężczyznę?

- Jestem najbardziej próżnym mężczyzną na świecie, bo ty mnie kochasz.

Mówiąc to, przyciągnął Brucenę do siebie i spragniony dotyku jej warg, uniósł jej twarz ku sobie, patrząc na nią przez chwilę.

Całował ją długo i tak namiętnie, że serce dziewczyny zabiło w piersi jak szalone.

Chciała być przy nim, by pocałunek trwał długo, lecz ku jej zdziwieniu wypuścił ją z objęć i popchnął lekko na sofę.

Kiedy usiedli, odezwał się:

- Mam ci coś do powiedzenia, kochanie.

- Co takiego?

Z tonu wyczytała, że było to coś ważnego. Upojenie wywołane pocałunkami minęło, jakby nagle ugasił je zimny powiew wiatru.

- Jutro, wczesnym rankiem - powiedział cicho - wyjeżdżam z twoim wujem.

- Wyjeżdżasz? - powtórzyła. - Przecież... dopiero co wróciłeś. Nie możesz odjechać tak nagle!

- To konieczne.

- Dlaczego? Po co? Z pewnością wuj zdaje sobie sprawę, że należy ci się wypoczynek.

Jain odwrócił od niej wzrok. Wiedziała, że szuka odpowiednich słów i ciekawiło ją, czy teraz jej coś wyjawia.

Wtedy, dzięki ich wzajemnej bliskości, zaczęła jakby czytać w jego myślach:

- Ta sprawa dotyczy thagów. Odkryłeś coś podczas pobytu w Gwalior.

- Nie chcę, abyś zadawała mi pytania.

- Muszę wiedzieć! Nie mylę się, prawda? - była nieustępliwa. - Dostarczyłeś wujowi pewnych ważnych informacji, które on musi natychmiast sprawdzić.

Uśmiechnął się.

- Jesteś nie tylko piękna, ale także inteligentna, kochanie - może to kiedyś nawet wykorzystam. W tej chwili jednak powinnaś mi po prostu zaufać.

- Więc ty mi także zaufaj i powiedz - odparła.

- Jeśli to zrobię, zdradziłbym tajemnice, które nie są wyłącznie moimi. Mogę ci jedynie powiedzieć, że najważniejsze jest to, by działać natychmiast. Muszę cię opuścić, by odkryć resztę.

Z nadludzkim wysiłkiem, zaciskając usta, Brucena powstrzymała się, by nie protestować.

Nie potrzebowała wyjaśnień Iaina, by upewnić się, że kiedy działał zamaskowany w Gwalior, przy okazji odkrył na swoim terytorium miejsce pobytu wielu thagów, którzy jeszcze się tam znajdowali.

Było oczywiste, że muszą być schwytani, zanim dokonają nowych zabójstw niewinnych podróżników. Zwłoka natomiast mogłaby stworzyć thagom szansę ucieczki do Gwalior, gdzie ani Iain, ani wuj William nie mogliby ich ścigać.

Kochała Iaina i chciała mu się przypodobać, więc zmusiła się, by powiedzieć:

- Już rozumiem...

Iain okazał jej teraz dużo czułości:

- Wiedziałem, że mogę na tobie polegać. Kiedy to wszystko się skończy i wrócę, obiecuję ci, że pierwszą rzeczą, którą zrobimy, ty i ja, będzie zaplanowanie daty naszego ślubu. Nie mam zamiaru długo wyczekiwać na chwilę, w której zostaniesz moją żoną.

Ujrzał jaśniejące oczy Bruceny i pomyślał, że żadna inna kobieta nie wyglądałaby bardziej czarująco i promiennie.

Potem całowali się tak długo, aż usłyszeli za drzwiami kroki. Do pokoju wszedł wuj przebrany do kolacji.

* * *

Hrucena obudziła się przed świtem. Ponieważ pożegnali się wczorajszego wieczoru, tego ranka nie wychodziła z pokoju, słysząc jak Iain z wujem odjeżdżają.

Zdawała sobie sprawę z powagi ich misji, gdyż zabrali ze sobą całą konnicę, pozostawiając do ochrony bungalowu tylko czterech sipajów z piechoty pod dowództwem kaprała.

Kiedy w Szkocji ojciec opowiadał jej o „prywatnej armii kuzyna Williama” - jak ją nazywał - Brucena sądziła, że rzeczywiście chodzi o liczną armię.

Jednakże po przyjeździe do Indii dowiedziała się, że obszar, który mu podlegał, był dwa razy większy od Anglii, Szkocji i Walii razem wziętych.

Teraz ze smutkiem myślała, że on i Iain nie mieli dostatecznej liczby ludzi do stłumienia tylu wrogich sił.

- A jeśli thagowie będą mieli tak dużą przewagę liczebną, że nikt nie przeżyje walki?

Sama myśl, że Iain może być zaduszony żółtą szarfą, a potem zginie bez wieści, a ona nie będzie mogła go już nigdy odnaleźć, wyzwalała w niej uczucie przerażenia, które władało nią bezlitośnie. Miała wtedy ochotę krzyczeć, wybiec z sypialni i błagać Iaina, by jej nie opuszczał.

Bez wątpienia byłby tym zaszokowany i z pogardą odebrałby jej słabość. Dlatego też pozostała w łóżku nasłuchując jak odjeżdża i zaciskała tak mocno pięści, że aż paznokcie zraniły dłonie.

Dźwięczały upręże, a niecierpliwe konie tupotały kopytami o utwardzoną nawierzchnię ziemi. Padały cicho wymawiane komendy. Potem domyśliła się, że nadszedł moment odjazdu. Wuj z Iainem opuścili bungalow, by dosiąść swych koni.

Nad linią horyzontu zaczęły wyłaniać się pierwsze promienie słońca, topiąc ponure ciemności nocy i stopniowo wygaszając blade światelka gwiazd. Odjechali. Po chwili nastąpiła cisza, którą zmąciło pianie koguta zwiastujące poranek.

* * *

Nie rób takiej zmartwionej miny, ma chérie - strofowała ją Amelia tego ranka.

Ogrodnicy podlewali trawę i kwiaty, ponieważ słońce dopiero zaczynało mocno grzać.

- Jak możesz być tak spokojna. Nie przejmujesz się? - spytała oburzona Brucena.

- Mój William jest bardzo sprytny - odparła po francusku Amelia. - Iain także. Oni przechytrzyli, zaaresztowali i wytępili już setki thagów. Nie sądzę, aby ta wyprawa była w czymkolwiek odmienna od poprzednich.

Brucena roześmiała się lekko.

- Jedyna różnica polega na tym, że tym razem mnie ona obchodzi. I sam ten fakt, w moim odczuciu, czyni tę ekspedycję jeszcze bardziej straszną i być może ważniejszą od innych, które miały miejsce w przeszłości.

- Przyzwyczajasz się - uspokajała Amelia.

- Mam nadzieję - odparła, lecz ton jej głosu pozbawiony był optymizmu.

Jej myśli zajęte dumaniem nad losem Iaina przerwał Azim. Przyszedł z budynku dla służby i przyniósł dla niej kwiaty.

Wręczył je grzecznie kłaniając się, czego musieli nauczyć go przybrani rodzice, a kiedy uklękła i objęła go ramionami, uśmiechnął się w ten sam ujmujący sposób, który tak ją zachwyił przy ich pierwszym spotkaniu.

- Jesteś szczęśliwy? - zapytała w urdu.

Kiwnął głową i wyjął z kieszonki nowego ubranka małą, różową piłeczkę jedwabiu, którą mu dała i gwizdek z drewna, taki jak Hindusi często robili swoim dzieciom.

Był najwyraźniej zadowolony ze swoich skarbów i chwalił się nimi. Dmuchał w gwizdek chyba kilkanaście razy. Potem, zobaczywszy jednego z ogrodników pracujących w pobliżu, wybiegł z werandy, by pokazać mu swe zabawki.

- To bardzo miłe dziecko - powiedziała Brucena.

- Przywrócił szczęście żonie kucharza - odparła Amelia. - Przyszła dzisiaj do mnie ze łzami radości w oczach, by mi oznajmić, że dzięki Azimowi, jej mąż stracił ochotę na nową żonę.

- Wydawałoby się, że jego synowie i córki mu wystarczą - zauważyła Brucena.

- Duża rodzina jest oznaką zamożności. Nasz kucharz jest świadom swego dużego prestiżu z powodu pracy u Williama.

Brucena roześmiała się.

- Teraz wiem, że jak policzę wszystkie dzieci członków mojej służby, będę potrafiła ocenić wartość pozycji społecznej Iaina!

- Być może pewnego dnia będziesz zmuszona zarządzać domem gubernatora. A to oznacza kierowanie setkami służących.

- Ciągłe masz te ambicje wobec mnie? - spytała Brucena. - To zbyteczne, Amelio. Jestem tak szczęśliwa, że nie mogłabym być jeszcze bardziej, nawet jeśli Iain zostałby mianowany generałem-gubernatorem.

Wciąż mam nadzieję, że zostaniesz „Jaśnie panią” w ten czy w inny sposób - powiedziała Amelia nie dając za wygraną.

Gdy to mówiła, dobiegł do ich uszu tętent kopyt i Brucena spojrzała na Amelię. Prawie równocześnie z jej ust wyrwało się:

- Lord Rawthorne!

Całkiem o nim zapomniała. Nie myślała też o jego obietnicy odwiedzin.

. Namiętność do Iaina i radość wywołana jego szczęśliwym powrotem wczorajszego wieczora zniwelowały w jej świadomości istnienie innych osób, nie tylko lorda Rawthorne'a.

Zataczając krąg przed domem, wtoczył się na podwórze powóz ze znajomą sylwetką wewnątrz, a za nim eskorta kawalerii z Gwalior.

- O, do diabła! - pomyślała. - Dlaczego musiał przyjechać akurat teraz, kiedy nie ma wuja?

Wiedziała, że będzie nieznośny. Zastanawiała się naprędce, czy mogłyby obie z Amelią pójść do swoich sypialni i kazać powiedzieć służbie, że są niedysponowane.

Ale zanim cokolwiek postanowiła, było za późno.

Lord Rawthorne przysiadł się do nich na tarasie i zachowywał się w sposób, który sądził, jest akceptowany; z całą swoją pewnością siebie i odrobiną arogancji.

- Głęboko żałuję, milordzie, że mój mąż został wezwany i nie będzie mógł pana ugościć - powiedziała Amelia.

- Przykro mi, że się minęliśmy - odparł lord - ale wystarczy mi, że zastałem panią z panną Nairn.

Mówiąc to przyglądał się Brucenie. Nie musiał wypowiadać tego, co było oczywiste; interesował się wyłącznie jej osobą.

Obawiała się, że może być dokuczliwy i zaraz przekonała się, że miała rację.

Prawił jej niesmaczne komplementy, nie zważając na obecność Amelii. Kiedy przebierały się do obiadu, powiedziała:

- Na miłość boską, nie zostawiaj mnie z nim samej!

- Uważam, że zrobisz mądrze informując go o swych zaręczynach - radziła Amelia. - To powinno przynajmniej trochę ugasić jego zapał.

- Wątpię, jednak mam zamiar to zrobić, gdy tylko nadarzy się ku temu odpowiednia okazja.

Nie chciała już dodawać, że nie będąc pewna reakcji lorda, czuła lekkie przerażenie.

W czasie obiadu, nawet na chwilę nie zwrócił oczu w inną stronę, a ona z wielką trudnością starała się brać udział w rozmowie, jaka toczyła się przy stole.

- Nie będziemy pana krępować swoją obecnością, milordzie - odezwała się Amelia wstając od stołu po zjedzonym posiłku.

Na to jednakże lord odpowiedział:

- Nie mam ochoty zostać sam. Dołączę do pań w salonie i wypiję tam moje porto, chociaż właściwie kieliszek brandy bardziej mi w tej chwili odpowiada.

Główny służący domu, który znał język angielski, podążył za nimi do salonu, niosąc karafkę z brandy, którą postawił obok krzesła lorda.

Brucena zerknęła na zegar zastanawiając się, jak długo jeszcze będą ciągnąć tę beładną rozmowę, zanim będzie mogła powiedzieć, że chce iść do łóżka.

Wreszcie nadszedł moment ulgi. Amelia widząc wyraz oczu lorda wpatzonego w Brucenę uznała, że najwyższy czas coś z tym zrobić, więc powiedziała:

- Jeszcze pozostaje to tajemnicą, milordzie, jednak ponieważ jest pan naszym przyjacielem, sądzę, że chętnie złoży pan Brucenie gratulacje z okazji jej zaręczyn i planowanego ślubu.

Jeśli zamierzała wywołać u niego wstrząs, to jej się udało.

Znieruchomiał. W jego głosie zabrzmiała prawie sroga nuta:

- Z okazji zaręczyn i planowanego ślubu? Z kim?

- Z majorem Huntleyem - odrzekła Amelia. - Mój mąż jest zadowolony, że kuzynce udało się znaleźć kogoś, kogo oboje tak bardzo lubimy.

- Pani ma zamiar poślubić Huntleya?

Słyszając jego impertynencki ton Brucena uniosła podbródek i powiedziała:

- Tak jak mówi pani Sleeman, w tej chwili jest to jeszcze tajemnicą, ale przestanie nią być, jak tylko napiszę do ojca, a Iain powiadomi swoich rodziców.

- Kiedy to zostało ustalone? Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

Pytania były wypowiedziane ostro, a słowa echem odbijały się po pokoju.

Brucena udała zdziwienie:

- Przed chwilą dowiedział się pan, że jest to tajemnica.

Nie było wątpliwości, że lord był rozwścieczony. Brucena zastanawiała się, czy nie jest to odpowiedni moment na pójście spać, kiedy do pokoju wszedł służący i powiedział coś na ucho Amelii, która po chwili wstała.

- Na chwilę muszę odejść. Przyszedł ktoś do Williama, a pod jego nieobecność ja powinnam odebrać wiadomość.

Wyszła z pokoju, zanim Brucena zdołała do niej dołączyć.

Jak tylko zostali sami, lord Rawthorn powiedział:

- To nie do przyjęcia! Nie mam zamiaru pozwolić pani na poślubienie Huntley'a!

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - odparła.

- Znakomicie pani rozumie. Pani wie, że zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Tylko dlatego, że opuściła pani Gwalior w takim pośpiechu, nie zdołałem porozmawiać o tym tak jak zamierzałem.

- Już za późno, by mówił pan to, czego potem może żałować.

- Z pewnością nie żałują niczego, co pani powiedziałem. Rozumiem teraz, dlaczego nie pozwalała się pani dotknąć, ale jeszcze nie stało się nic, czego nie można by odwołać.

- Znowu nie rozumiem, co pan ma na myśli.

- Więc niech mi wolno to pani wyjaśnić. Pragnę pani i dlatego poślubisz mnie firuceno!

- Tego z całą pewnością nie powinien był pan wypowiedzieć. Jestem zaręczona z Iainem Huntleyem i za niego zamierzam wyjść za mąż.

- A ja pani mówię, że zrobię wszystko, by do tego nie dopuścić! Dobry Boże, czy naprawdę woli pani ode mnie tego nic nie znaczącego, ponurego łapacza thagów?

Gdyby nie mówił tego tak poważnie i emocjonalnie, brzmiałoby to zabawnie. Przyszło jej do głowy, że lord może jednak w jakiś sposób zaszkodzić Iainowi.

Jeżeli czuje się urażony, może skompromitować go u przełożonych, a skargi poważnych osobistości często były narzędziem wykorzystywanym do niszczenia karier - słyszała to od ojca.

Nagle zorientowała się, że musi zachowywać się niezwykle taktownie, by chronić Iaina. Wolałaby, żeby Amelia nie powiedziała tak dużo; powinna raczej pozwolić, by lord sam dowiedział się o zaręczynach.

W każdym razie, jeśli to był błąd, to został on już popełniony. Teraz musi być na tyle inteligentna, by nie dopuścić do zemsty lorda na mężczyźnie, którego kochała.

- Czuję, że powinnam docenić - zaczęła cicho i niepewnie - jak wielki to dla mnie zaszczyt... że milord myślał o mnie... w ten sposób, ale nawet przez chwilę nie przeszło mi przez myśl, że o to właśnie chodzi.

- Musiała pani domyślać się moich intencji - stwierdził.

Uśmiechnęła się.

- Pan z pewnością wie, że posiada reputację... kobieciarza. Nawet przez moment nie przypuszczałam, że w moim wypadku miał pan poważne... zamiary.

Wiedziała, że te pochlebstwa złagodziły nieco jego złość.

Po krótkim milczeniu odparł:

- Przyznaję, że w przeszłości krążyło trochę plotek na mój temat, jednak od pierwszej chwili, gdy panią ujrzałem, czułem, że pani jest inna.

- Co to znaczy, inna? - spytała wyciągając ręce w geście bezradności.

- Sam chciałbym znać odpowiedź na to pytanie. Wiem tylko, że odkąd zwróciła pani moją uwagę, doznaję uczuć, których nigdy dotąd nie przeżyłem. Im dłużej panią znam, tym coraz bardziej jestem zakochany.

Przerwał na moment, zanim powiedział:

- Zamierzałem wyznać swe uczucia, gdy tylko zjawiała się pani w Gwalior. Pomyślałem, że byłoby romantycznie w otoczeniu egzotycznego, królewskiego

pałacu. Ale wyjechała pani tak nagle, że nie pozostało mi nic innego, jak podążyć pani śladem.

- Przykro mi... bardzo mi przykro.

- Naprawdę?

Nie zamierzała sprowokować takiego pytania, więc odpowiedziała prędko:

- Przykro mi, że z mojego powodu spadło na pana tyle kłopotów. W żadnym wypadku nie chciałabym, aby czuł się pan nieszczęśliwy.

- Wcale nie zamierzam tak się czuć - odparł tak stanowczym tonem, że aż wystraszył Brucenę. Poczwała ulgę, gdy do pokoju weszła Amelia.

- To nie było nic ważnego. Muszę tylko coś przekazać mężowi, gdy wróci - powiedziała.

Jej uwagę zwróciła napięta atmosfera w pokoju, bo spojrzała najpierw na Brucenę, potem na lorda.

- Przypuszczam, że dziś chciałby pan wcześniej udać się na spoczynek. Jutro, jeśli zechce pan zostać jeszcze z nami, zapraszam na uroczystą kolację na pana cześć. Nasi sąsiedzi będą z pewnością zaszczytzeni pana towarzystwem.

- To wspaniałe zaproszenie, pani Sleeman - odparł.

Mówiąc to był wpatrzony w Brucenę. Obydwie wiedziały, że myślami jest gdzie indziej.

Powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli do swych sypialni.

Brucena nie rozebrała się od razu. Była zmartwiona i niespokojna wiedząc, że Amelia popełniła jednak błąd informując lorda o zaręczynach z Iainem.

Zastanawiała się, w jaki sposób ugasić w nim gniew i zawziętość, które mogły stać się przyczyną wielu problemów.

- Nie wiadomo, czego się po nim spodziewać. Mam przeczucie, że może być niebezpieczny - pomyślała.

Była tak zaaferowana, że nie wezwała pokojówki, lecz wyszła z sypialni na zewnątrz. Weranda Brucyny była odosobniona. Weranda, na której zwykle siadywali, znajdowała się z drugiej strony, na wschodniej ścianie bungalowu.

Panna Nairn miała na nogach miękkie pantofle, które zakładała w domu i nie było słyhać, jak stapała po drewnianej podłodze. Dochodząc do końca werandy od północnej strony, usłyszała głos lorda Rawthorne'a.

Zdziwiła się, bo sądziła, że dostał sypialnię usytuowaną od frontu.

Usłyszała, kiedy mówił:

- Powinienem pogratulować panu za niezwykle osiągnięcia w pracy przy boku kapitana Sleemana, który podjął się trudnego zadania wytepienia thagów.

Rozmówca odpowiedział coś, lecz trudno było go zrozumieć. Ciekawiło ją, kim jest ten człowiek, gdy lord odezwał się:

- Jest oczywiste, że długo nie będzie pan kapralem. Czy lubi pan służbę wojskową?

- Tak, lordzie sahib. Jest niezwykle interesująca. Teraz Brucena wiedziała, z kim lord rozmawia. Był to kapral dowodzący sipajami.

Przypomniała sobie, jak wuj mówił, że jest młodym, zdolnym Hindusem i będzie dobrze się nimi opiekował podczas jego nieobecności w domu.

- Jestem pełen podziwu dla kapitana Sleemana! - ciągnął lord. - I wiem, że wszyscy, łącznie z generałem-gubernatorem są pod wrażeniem jego osiągnięć na tym terenie; podziwiam też sukcesy ludzi takich jak pan.

Brucena stała zdumiona.

Dlaczego lord Rawthorne tak zabiega o kaprala?

Było to dla niego nietypowe zachowanie.

W czasie pobytu w Gwalior zauważyła, że traktował hinduskich służących jakby byli kimś gorszym i powinni służalczo wykonywać jego rozkazy.

- Przypuszczam, że żałuje pan, iż nie bierze udziału w ekspedycji, na którą właśnie pojechał. Młody, ambitny człowiek w pana sytuacji zawsze lubi walkę lub raczej powinienem powiedzieć, zabijanie.

Kapral chyba coś przytaknął. Potem mówił lord:

- Nie szkodzi. Jestem pewien, że panu to w niczym nie ujmuje. Naturalnie powiem kapitanowi i innym przełożonym, że wykonywał pan swe obowiązki w najbardziej przykładowy sposób.

- Dziękuję, lordzie sahibie.

- Kiedy spodziewa się pan powrotu, kapitana?

- Nie dostałem żadnych informacji, lordzie sahibie.

- Jak długo zajmie mu dojazd do wyznaczonego miejsca?

- Nie znajduje się ono daleko, lordzie sahibie.

- Tak, oczywiście! Powiedziano mi nazwę. Niech pomyślę - hinduskie nazwy są raczej trudne do zapamiętania.

- Selopa, lordzie sahibie.

- Tak, tak, właśnie. Jaki jestem głupi. Selopa! Z niecierpliwością oczekuję jego powrotu. Spodziewam się, że pan także, kapralu.

- Tak, lordzie sahibie.

- Dobranoc, kapralu.

- Dobranoc, lordzie sahibie. Brucenie zapało dech w piersiach.

Zdawała sobie sprawę, że lord Rawthorne dostał od kaprala informację, której właśnie potrzebował. O tym nawet ona nie wiedziała.

Selopa. Tam pojechał Iain. Ale dlaczego interesowało to lorda?

Wydawało jej się to tak dziwne, że cały swój umysł skoncentrowała na rozwiązaniu zagadki instynktownie czując, że coś ważnego się za tym kryje.

Wróciła do pokoju i zastała w nim swoją pokojówkę.

- Nie spodziewałam się pani tak wcześnie, mem sahib - zaczęła przeproszać.
- W przeciwnym razie czekałabym na panią.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Brucena. Nie zamierzałam od razu położyć się do łóżka. Czy mogłabyś przyprowadzić do mnie Nasira? Chciałabym natychmiast z nim porozmawiać.

- Przyprowadzę go, mem sahib. Brucena czekała.

W chwilę później Nasir stał już w drzwiach, więc kazała mu wejść do pokoju.

Był niskim, kościstym mężczyzną. Wuj uważał go za bardzo inteligentnego człowieka.

- Posłuchaj mnie - zaczęła. - Chciałabym powiedzieć ci coś ważnego, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

Zauważyła, że słuchał uważnie, ze skupionym wyrazem twarzy.

- Mam przecucie, choć mogę się mylić, że lord sahib, lord Rawthorne, dziś w nocy wysłał w tajemnicy posłańca z pewnym zadaniem. Jeśli to zrobi, będzie to jeden z jego ludzi, aby nikt z nas tu obecnych niczego się nie domyślił.

Po chwili powiedziała:

- Nie wolno do tego dopuścić, Nasir.

- Dopilnujesz tego?

- Tak, będę obserwował, mem sahib.

- Jeśli którykolwiek ze służących lorda lub jeden z żołnierzy, którzy przyjechali wraz z nim z Gwalior odjedzie, musisz przyjść i powiadomić mnie o tym natychmiast... zrozumiałeś?

- Tak, mem sahib.

- Jeśli ktoś będzie miał jakieś podejrzenia, powiedz wszystkim, że wysłałam po ciebie, by porozmawiać o Azimie.

- Nikt nie będzie mnie wypytywał, mem sahib - odparł Nasir.

- Dziękuję, Nasir. Wiem, że mogę ci zauać, ale proszę, przyjdź i obudź mnie, gdy tylko ktoś opuści dom.

- Tak zrobię, mem sahib.

Nasir skłonił się i wyszedł, a Brucena z pomocą pokojówki rozebrała się i położyła do łóżka.

Mogę się mylić, myślała leżąc oparta na poduszkach. Jednak po wysłuchaniu rozmowy lorda Rawthorne'a i kaprała, jej podejrzliwość ciągle rosła.

Obaj wydali jej się teraz groźni. Wielka, czarna chmura zawisła nagle nad Iainem.

W końcu powiedziała sobie, że nie jest zbyt rozsądna. Z pewnością lord nie zrobiłby krzywdy Iainowi. Czy mógłby mieć aż tak mało honoru, by z samego pragnienia pożądania, jakie nim zawładnęło, może rozważać jakiś nieczyny podstęp?

Z drugiej jednak strony, powiedział z całą stanowczością: „Poślubi mnie pani!”, a za moment dodał, że uczyni wszystko, by nie dopuścić do jej małżeństwa z Iainem.

Co mógł zrobić?

Trudno było jej uznać, że nasuwające się podejrzenia miały źródło tylko w jej wyobraźni. Istniały bez względu na jej wysiłki wymazania ich ze swojej świadomości.

Zaczynała zapadać w drzemkę, gdy usłyszała skrzypienie drzwi. Natychmiast usiadła.

Nasir stapał tak cicho, że nie słyszała nawet, jak zbliżał się do łóżka.

- Miała pani rację, mem sahib. Jeden z osobistych służących lorda sahiba jest już przy koniach - wyszeptał.

- Więc my także musimy jechać - odparła prędko. - Musimy ostrzec kapitana Sleemana i majora Huntleya. Rozumiesz?

- My, mem sahib?

- Ty i ja, Nasir. Jak tylko ten mężczyzna oddali się, osiodłaj dwa konie. Zaczekaj przy rozjeździe za krzewami. Znasz drogę do Selopa?

- Tak, mem sahib.

- I wiesz, gdzie znajdziemy kapitana?

- Tak, mem sahib.

- Więc pospiesz się!

Nasir opuścił pokój tak cicho jak do niego wszedł, a Brucena zaczęła się ubierać.

Założyła najłżejszy strój do jazdy konnej i buty; potem niosąc w rękę swój kapelusz z szerokim rondem przeszła korytarzem do pokoju Amelii.

Nie zapukała, lecz otworzyła powoli drzwi i w tym momencie usłyszała Amelię:

- Kto to?

- To ja Brucena.

Amelia oparła się o poduszki.

- Co się stało, kochanie?

Brucena podeszła blisko do łóżka. Światło księżyca wpadające przez zasłony w oknie oświetlało pokój.

- Muszę wyjechać, aby ostrzec wuja Williama i Iaina, że znajdują mę w niebezpieczeństwie. Sądzę, choć nie jestem jeszcze całkiem pewna, że wysłano posłańca, by zawiadomić thagów o tym, że ktoś jest na ich tropie. W konsekwencji tego mogą zaskoczyć wuja i Iaina; a potem ich zabić! Muszę ich o tym wszystkim powiadomić, Amelio!

- Ma chérie, skąd o tym wiesz? Jak to możliwe? - zaczęła Amelia.

- Nie mam teraz czasu, lecz przysięgam, że istnieją poważne powody do obaw. Teraz posłuchaj. To niezwykle istotne: lord Rawthorne nie może się dowiedzieć, że opuściłam bungalow.

- Ale dlaczego? Co on ma z tym wspólnego?

- On ma z tym wiele wspólnego, przynajmniej tak mi się wydaje. Więc jutro, Amelio, musisz mu powiedzieć, że źle się czuję i mam gorączkę. Niech moja pokojówka udaje, że się mną zajmuje. Pamiętaj, by donosiła posiłki do mojego pokoju. Może je gdzieś wyrzucać, ale nikomu więcej w domu nie pozwól, by domyślał się, że mnie nie ma.

Każda inna kobieta zgodziłaby się na to, Lecz nie bez protestów. Amelia jednak, będąc żoną Williama, nie musiała się uczyć ani reagowania na przeróżne nagłe wypadki, ani zadawania właściwych pytań.

- Kto jedzie z tobą?

- Nasir.

- Z nim będziesz bezpieczna. Mam nadzieję, że William nie będzie zły, że pozwoliłam ci odjechać. Brucena z uśmiechem pocałowała Amelię w policzek.

- Nie jesteś w stanie mnie teraz zatrzymać. Wrócę tak szybko jak to będzie możliwe.

Opuściła pokój i przeszła przez ogrodzenie werandy do rozjazdu, przy którym za kępą drzew czekał Nasir i koźmi.

W milczeniu pomógł jej dosiąść wierzchowca, potem ruszyli. Jechali wolno po miękkiej ziemi, żeby nie słychać było tętentu końskich kopyt. Dopiero, gdy oddalili się od bungalowu i znaleźli na odkrytym terenie, przyspieszyli tempa.

Blask księżyca oświetlał wszystko srebrnym kolorem, a droga była tak dobrze widoczna jak za dnia.

Po raz pierwszy Brucena poczuła w sobie nagłą radość.

Pomagała Iainowi i wiedziała, że ich wzajemna miłość ułatwi jej ocalenie go, a także zapobiegnie zrujnowaniu planów wuja i Iaina.

Po tych wydarzeniach przypominała sobie, że Nasir ani na chwilę nie tracił pewności, tak że od początku podróży aż do miejsca przeznaczenia, prawie nie hamował koni.

Galopowali przez dłuższy czas, zanim spytała:

- Jak daleko jest Selopa?

- Tą drogą niedaleko.

Popatrzyła na niego czekając na wyjaśnienie, więc powiedział:

Kapitan sahib jechał głównym traktem, by nie wzbudzać niczyjej ciekawości. Udawał, że przeprowadza rutynowy patrol lub inspekcję więzienia. Spotykał się z urzędnikami dystryktu - robił to bez pośpiechu, by nikt niczego nie podejrzewał.

- Rozumiem - powiedziała Brucena.

Jechali szybko. Miała wrażenie, że Nasir przeprowadzał ją przez najdzikszą, najmniej zaludnioną część regionu, ponieważ rzadko napotykali jakąś drogę i małe wioski.

Przejeżdżali właściwie przez pustkowia oświetlone światłem księżyca, które mogłoby wydać się jej piękne, gdyby nie odbywała tej podróży w takim napięciu, niezdolna do myślenia o niczym innym oprócz czyhającego na Iaina niebezpieczeństwa.

A jeżeli przybędzie za późno i mężczyzna wysłany przez lorda Rawtohorne'a, który w jej przekonaniu miał powiadomić thagów, dotrze tam pierwszy i zaskoczy Iaina i wuja?

Nie miała pojęcia, ilu dokładnie żołnierzy wzięli ze sobą. Przechodziły ją ciarki na wspomnienie opowieści, wuja, który pewnego razu schwytał grupę trzystu thagów, znajdujących się tylko w jednym miejscu.

Skoro teraz mogło być ich tylu, jaką mieli szansę?

Galopowali bez przystanku, a Nasir wskazywał drogę. Konie ich reagowały na każdy ruch i teraz Brucena była zadowolona, że wuj miał sztuki dobrej rasy.

Tylko przy zakupie koni potrafił być rozrzutny. Uświadomiła sobie, że jego obowiązki usprawiedliwiały ten fakt.

W końcu, po podróży zdającej się nie mieć końca, Nasir ściągnął cugle i zaczął posuwać się naprzód trochę wolniej.

Rozglądał się dokoła i od razu domyśliła się, że wypatruje miejsca, w którym wuj z Iainem rozbili na noc obóz.

Próbowała domyśleć się, jak wygląda ich plan.

Z pewnością chcieli działać przez zaskoczenie. Ale jaką mieli szansę zaskoczyć thagów w momencie napaści na podróżnych, skoro przyjechali tu w mundurach kawalerzystów, a z nimi żołnierze z lancami?

- Może ośmieszyłam się - pomyślała nagle z rozpaczą. - Może on śpi gdzieś w barakach po zabawie w oficerskiej messie.

W głębi duszy wiedziała jednak, że to niemożliwe. Gdy tak trapiła się swoimi myślami, Nasir nagle zeskoczył z konia i dał jej znak, by zrobiła to samo.

Ponieważ nie odzywał się ani słowem, Brucena przypomniała sobie, że głos w nocy niesiony jest daleko i mógłby zdradzić ich położenie.

Zeskoczyła z siodła i poszła za Nasirem, który prowadził swego konia w stronę zagajnika.

Kiedy stanęła obok kaprała, zobaczyła, że przywiązuje cugle do pnia. Zrobiła więc to samo.

Nasir przyłożył palec do ust i ruszył naprzód. Brucena, unosząc spódnicę do góry, podążyła za nim o nic nie pytając. Starła się iść tak cicho jak on, słysząc tylko swe serce bijące w piersi jak szalone.

Zaczęli przedzierać się przez las. Poszycie było tu gęste i wysokie, dlatego musieli iść wolno. W pewnej chwili, w dole poniżej, Brucena zobaczyła duży obóz, który rozbiła na noc grupa podróżnych.

Ich konie miały związane pęciny, aby nie mogły się oddalić, a wielbłąd przycupnął na ziemi unosząc wysoko głowę. Wokoło było pełno czegoś, co przypominało tobołki.

Domyśliła się, że są to ludzie owinięci kocami i płaszczami. Trochę z boku, bliżej drzew dostrzegła dwa małe niskie namioty.

Takich namiotów używali podróżni należący tylko do określonej klasy społecznej. Posiadali o sobie zbyt wielkie mniemanie, aby spać obok swoich towarzyszy podróży, lecz nie stać ich było na obszerny, imponujący namiot, którego używali bogaci kupcy lub sahibowie.

Nasir przez chwilę stał nieruchomo; wtem, przykucnął na kolanach i zaczął skradać się w kierunku namiotów. Dał jej znak, żeby podczołgała się do niego, więc schyliła się.

Miała ochotę go spytać, co zamierza zrobić.

Zobaczyła, że ludzie, którzy leżeli na ziemi byli z całą pewnością podróżnymi, a nie żołnierzami.

W pewnej chwili przyszło jej do głowy, że jeśli wuj z Iainem mieli zamiar przyłapać thagów na gorącym uczynku, mogli przebrać się za ich ofiary i stać się podróżnymi, by zwabić thagów w pułapkę!

Przez chwilę bała się, że nie opanuje rosnącego w niej lęku. Nasir dalej bezszelestnie czuł się ukradkiem w dół ze wzniesienia. Widząc, z jakim

doświadczeniem to robi wiedziała, iż w takim momencie nie wolno jej zrobić żadnego błędu, by nie zwrócić na siebie uwagi.

Wydawało się jej, że każdy zgnieciony liść pod kolanami trzaskał jak strzał z pistoletu, a każda najmniejsza gałązka huczała jak armatnie działo.

Zanim się zorientowała, oboje byli już o parę stóp od namiotów.

Nasir obrócił się i uniósł do góry rękę. Miał to być znak, by pozostała na swoim miejscu.

Kiedy dostrzegł, że zrozumiała, powoli podczołgał się trochę i uniósł przed sobą plandekę namiotu.

Mimo iż światło księżyca skrywały konary drzew, Brucena widziała, jak wślizguje się do namiotu niczym wąż. Została sama.

Dochodziły ją głosy, lecz nie potrafiła zrozumieć ani słowa.

Naraz przysła jej do głowy przerażająca myśl, że kapral trafił w nieodpowiednie miejsce, gdzie wzięto go za złodzieja i zabito!

Nagle ujrzała, jak wysuwa głowę z namiotu i z uśmiechem przywołuje do siebie.

Kiedy ruszyła w tamtą stronę Nasir prześliznął się w kierunku drugiego namiotu, uniósł plandekę i zniknął w środku.

Wystraszona, lecz posłuszna, Brucena wyczołgała się z zarośli. Kiedy dotarła do namiotu czyjaś ręka wyciągnęła się po nią, a jej serce wykonało prawie potrójne salto.

Był to Iain. Wciągnął ją do środka i w sekundę potem tulił w swych ramionach.

Całował ją i przestała myśleć o wszystkim oprócz tego, że znowu jest z nim i już nie musi się niczego obawiać, gdy obok siebie czuje bicie jego serca.

Oderwał usta od jej ust i powiedział tak cicho, że musiała skupić całą swoją uwagę, by dosłyszeć:

- Skąd wzięłaś tyle odwagi, by przyjść tu i ostrzec mnie?

Wydawało jej się, że pocałunki zaćmiły jej umysł. Nie czuła nic prócz zauroczenia.

Ocknęła się i odezwała się tak cicho jak on; zaczęła opowiadać o tym, co podsłuchiwała i o swoich podejrzeniach.

- Kochana, jesteś niezwykła. Nie chcę jednak, abyś przebywała w tym niebezpiecznym miejscu. Jeśli zostanie trochę czasu, Nasir powinien cię stąd zabrać.

- Nie, nie! - wyszeptała. - Nigdzie nie pójdę. Objęła go za szyję.

- Kiedy jestem z tobą, niczego się nie boję. Czuję strach tylko wtedy, gdy cię przy mnie nie ma.

- Moim zdaniem powinnaś wrócić do domu, ale o tym niech zdecyduje twój wuj. Nasir mu wyjaśnia teraz, dlaczego się tu znalazłaś.

Kiedy mówił, dosłyszeli okrzyk, który zabrzmiał jak komenda, a po nim rozległ się piekielny hałas.

Iain nagłym ruchem odrzucił połę namiotu i wyszedł.

Brucena krzyknęła, a później głos jej zamarł.

Osamotniona słuchała przeraźliwych krzyków. Wiedziała, że chodzi o życie albo śmierć.

Tylko czyją śmierć?

Rozdział siódmy

Żegnaj, najdroższa Amelio. Nie wiem jak mam ci dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Będę za tobą strasznie tęsknić, tak jak William za Iainem - odparła Amelia. Wiemy jednak, jak bardzo będziecie ze sobą szczęśliwi.

Kiedy w przedziale kolejowym panie objęły się na pożegnanie, William Sleeman stojący na peronie, wyciągnął rękę do Iaina.

- Nie muszę ci przypominać, żebyś opiekował się Brucena. Chociaż bez was będzie tu zupełnie inaczej, wiem i cieszę się, że macie przed sobą wspaniałą przyszłość - powiedział.

- Skoro tak, to tylko wam to zawdzięczam - odparł Iain. - I nie skłamię, jeśli wyznam, że lata spędzone przy was były najszcześniejsze w moim życiu.

- Przynajmniej mamy już za sobą pewien sukces - odrzekł kapitan. - Teraz zostało już niedużo do zrobienia, z wyjątkiem paru drobnych spraw. Jestem przekonany, że thagowie stracili już swój zapal.

Będąca już w przedziale Brucena, podniosła swój ślubny bukiet, który leżał na siedzeniu i wcisnęła go w rękę Amelii.

- Na wypadek, gdybym nie mogła ofiarować ci kwiatów, kiedy przyjdzie na świat twoje dziecko. Chciałabym, żeby były pierwsze w kolejności, które on lub ona otrzyma.

Amelia roześmiała się z lekkim drzeniem w głosie. - To bardzo słodki pomysł. Zasuszę te kwiaty w książce, żeby pokazać je dziecku, gdy dorośnie - odrzekła. Obydwie uśmiechnęły się lekko zażenowane tym] sentymentalnym nastrojem.

William Sleeman stanął przy drzwiach.

- Strażnik dopytuje, kiedy może ruszyć pociągi Amelio. Jeśli nie chcesz odjechać razem z młodą parą, sądzę, że powinnaś kończyć już te pożegnania!

Amelia jeszcze raz ucałowała Brucenę.

- Kochana, wyglądasz prześlicznie. Cokolwiek byś mówiła, wiem, że nie upłynie parę lat, a będziesz mieszkać w swojej własnej rezydencji gubernatora i zostaniesz Jaśnie panią" - powiedziała.

Ponieważ teraz zabrzmiało to już jak stary żart, Brucena nie zaprotestowała i roześmiała się tylko. Kiedy wuj pomagał wysiąść Amelii, Brucena ucałowała go.

- Żegnaj, wuju Williamie. Teraz najbardziej odpowiednim słowem będzie „dziękuję”. Czuję to samo, co po przybyciu do Indii, że jest to najbardziej ekscytujący, najcudowniejszy kraj na całym świecie.

Mówiąc to zerknęła na męża i dodała:

- Szczególnie dlatego, że dał mi Iaina.

William zwrócił się do strażnika, który krążył w pobliżu.

- Ma pan moją zgodę na odjazd pociągu - powiedział.

- Dziękuję, kapitanie - odparł strażnik. Włożył do ust gwizdek i zaczął rozwijać chorągiewkę.

Sipaje powstrzymywali napierający tłum, który obserwował odjazd młodej pary.

Panna młoda i pan młody w każdym kraju zwracają na siebie uwagę. Jasnoróżowa suknia Bruceny i czepek z wstążkami tego samego koloru, wywoływały okrzyki zachwytu ubranych w kolorowe sari hinduskich kobiet.

Z lokomotywy buchnęła para. Kiedy Iain wszedł do wagonu i zamknął za sobą drzwi, a służący pozamykali pozostałe, na peronie rozległy się wiwaty.

Gdy pociąg ruszył, Brucena wychyliła się przez okno i ze łzami w oczach pomachała kuzynom na pożegnanie.

Ponieważ dym z jadącego coraz szybciej pociągu zaczął przesłaniać widok, Iain odsunął Brucenę i zamknął okno.

Gdy stała przechylając się lekko w rytm sunącego pociągu i patrzyła na niego, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Przy szybkiej jeździe nie mogli długo utrzymać się na nogach, więc usiedli. Policzki Bruceny zaróżowiły się, a oczy błyszcząły.

- Jesteśmy małżeństwem! - powiedziała ściszym głosem. - Jesteśmy... prawdziwym małżeństwem!

- Czy obawiałaś się, że coś nas może w ostatnim momencie powstrzymać? - spytał.

- Niczego nigdy nie jestem pewna, jeśli ta rzecz dotyczy ciebie. Jakże mogłam się domyślać, będąc w ciągłym strachu przez te wasze wyczyny, że zaproponują ci to wspaniałe stanowisko w sztabie generała-gubernatora?

- Powinnaś dziękować za to wujowi - odparł. - Tak gorliwie napisał swój raport, że żaden generał-gubernator, a szczególnie lord William Bentinck, którego wyjątkowo interesowały nasze osiągnięcia, nie zignorowałby go.

- Cokolwiek by napisał wuj, jestem przekonana, że w niczym nie przesadził.

Iain uśmiechnął się i objął ją ramionami, mówiąc:

- Widzę, kochanie, że jesteś do mnie raczej przychylnie nastawiona, ale właśnie o to mi chodzi.

Rozwiązał jej wstążki pod szyją, zdjął czepek i rzucił go na wolne siedzenie.

Wtedy sądziła, że chce ją pocałować, ale przyglądając się jej powiedział tylko:

- Aż trudno mi uwierzyć, że ktoś może być taki piękny. Właśnie tak pomyślałem, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się przy pociągu.

- Rozpoczęliśmy naszą znajomość w pociągu, a teraz zaczynamy w nim nasze małżeństwo! - wykrzyknęła. - Czuję, że los płata nam jakieś figle, jednak nie wiem jeszcze, co się za tym kryje.

- To, że cię kocham i wyszłaś za mnie. Ale ponieważ jesteś tak piękna, mam wątpliwości czy słusznie postąpiłem, godząc się na stanowisko w sztabie.

Spojrzała na niego zdziwiona, więc wyjaśnił:

- Jeśli przyłapię cię, jak zerkasz na innego mężczyznę lub przyjmujesz komplementy, którymi niejednokrotnie będziesz obsypywana, przysięgam, że zabiorę cię z powrotem do Saugoru i zostaniemy w nim do końca życia!

- Dla mnie nie ma znaczenia, gdzie spędzimy resztę lat, skoro i tak będę z tobą.

Wzruszony nutą szczerości w jej głosie, pocałował ją i dalsza rozmowa stała się niepotrzebna.

* * *

Brucena miała czas, by zastanowić się nad swoim życiem, które zmieniło się w ciągu jednej nocy nie tylko dlatego, że poślubiła Iaina.

Dowiedziała się, jak ważną odegrała rolę jadąc z Nasirem do Selopy, by ostrzec wuja przed zdradą lorda Rawthorne'a.

Nie myliła się podejrzewając go, że zamierza donieść o nich thagom, których mieli wtedy schwytać.

Co gorsza, lord kazał swemu posłańcowi powtórzyć thagom, żeby walczyli o swe życie, nie bacząc na to, z kim mają do czynienia.

Była to zwykła namowa do zbrodni i Brucena czuła się jakby winna temu, że dopuścił się tak haniebnego czynu, chcąc zniszczyć mężczyznę, którego ona zamierzała poślubić.

- Jak to możliwe, by mógł mieć tak nieczne zamiary? - wykrzyknęła, dowiadując się o intencjach lorda.

Zatrząsał ją fakt, że jakikolwiek człowiek, a już w szczególności angielski arystokrata, potrafiłby dopuścić się tak strasznego przestępstwa, jakim jest morderstwo z premedytacją.

Iain wziął ją w ramiona.

- Sądzę, kochanie, że powinniśmy być wspaniałomyślni i zgodzić się z tym, że namiętność do ciebie przysłoniła w nim poczucie zdrowego rozsądku - odparł.

- Znalazłbym dużo więcej określeń, by opisać podobne zachowanie - odparł oschle wuj.

- Ja także - przyznał Iain. - Uważam jednak, że to nie ma sensu.
Brucena z zakłopotaniem patrzyła to na jednego to na drugiego.
- Mam rozumieć, że po tym wszystkim pozwolicie mu tak po prostu odejść?
- spytała. - Chyba powiadomicie
generała-gubernatora lub przynajmniej skłonicie lorda do jakichś wyjaśnień?
Wuj William milczał przez chwilę.
- Nie, Iain ma rację, Bruceno. Nic nie osiągniemy, wywołując skandal, a postąpimy z większą godnością udając, że lord nie miał absolutnie nic wspólnego z akcją, która dzięki tobie, moja droga, była tak udana - odrzekł.
- To znaczy... że gdybym tam nie dojechała... przed posłańcem lorda...
- Mielibyśmy do opowiedzenia całkiem inną historię - odparł Iain, nie pozwalając jej tym samym dokończyć. - Jak wiesz, Nasir powiedział wujowi, dlaczego przyjechałaś. Wuj dał sygnał do zaatakowania thagów, zanim oni zdążyli zadziałać przeciwko nam.

Dowiedziała się na koniec, że to jeszcze nie było wszystko.

Dzięki przeprowadzonemu wywiadowi w Gwalior, Iain odkrył, że dwóch ostatnich przywódców thagów organizuje spotkanie ku czci bogini Kali.

Miało odbyć się w bele, lasku, który od pokoleń był stałą kryjówką thagów i punktem ataków na podróżnych ze względu na dogodne miejsce odpoczynku.

Tam,, gdzie Brucena odnalazła obóz Iaina i wuja, przez kilka wieków mordowano setki, a może nawet tysiące niczego nie podejrzewających podróżnych.

W Selopie znajdował się wielki targ. Przywódcy thagów wiedzieli o lasku położonym niedaleko przy drodze za miastem, gdzie grupy podróżnych zmuszone były zatrzymywać się na noc przed podróżą do domu następnego dnia.

Thagowie oczekiwali tam licznych grup i przygotowywali się do zastosowania swej dobrze wypróbowanej techniki z żółtą jedwabną pętlą.

Kiedy ofiara została uśmiercona, dzielili ciało stosując rytualne ciecicia i zakopywali szczątki pod drzewami, w ten sposób składając hołd swej bogini i tym samym przypisując sobie wielkie dla niej zasługi.

Taki sukces rozgłaszany był pośród wszystkich thagów przebywających w sąsiedztwie. Na nowo przywracał im on siłę, która została znacznie osłabiona działalnością Williama Sleemana, wymierzoną przeciwko krzewicielom kultu.

Opór thagów mógłby zaprzepaścić wszystkie wysiłki i ciężką pracę ostatnich dwóch lat.

Co więcej, posłaniec lorda Rawthorne'a dotarł przed Brucena i zdołał przekazać swe informacje przywódcy thagów, w czym nie zorientował się

wtedy ani William Sleeman, ani Iain Huntley. Ich planowane zwycięstwo szybko zmieniłoby się w tragiczną porażkę.

Thagowie mieli dwa wyjścia: albo zniknąć, albo zacząć dusić domniemanych podróżnych, zanim przebrani ludzie Sleemana pojęliby co się dzieje.

Ostatecznie skończyło się tym, że wyznawcy Kali zostali schwytani dzięki sprytowi Sleemana i Iaina.

Wuj uznał, że Brucenie należą się wszelkie wyjaśnienia. Opowiedział jej o dotarciu do Selopy, pozostawieniu swych koni w zasadzce, która została wcześniej przygotowana.

Następnie mówił, jak zdjęli mundury i przywdziali ubiór typowy dla rolników pochodzących z innego regionu.

Potem, niosąc produkty do sprzedaży na targu, przedzierali się do miasta. Tam udając handlarzy musieli targować się o swe towary, po czym znów spotykali się pod wieczór.

Iain przyprowadził zdobytego wielbłąda i kilka osłów. Każdy wędrował wzdłuż drogi przechwalając się zarobionymi pieniędzmi i opowiadając o wyjątkowo udanym handlu.

William Sleeman tak dobrze wyćwiczył swoich ludzi, że od momentu, kiedy ściągnęli z siebie mundury, grali swoje role nie bacząc, czy jeszcze ich ktoś słucha czy też nie.

Przez blisko trzy lata uczeni byli, że jedno nieostrożne słowo, moment nieuwagi, mogły pociągnąć za sobą nie tylko ich śmierć, ale także śmierć kolegów.

Kiedy dotarli do wybranego przez siebie miejsca noclegu, kłócili się przez chwilę czy będzie ono odpowiednie, czy powinni iść gdzieś dalej.

Wydawało się, że wokoło nie było nikogo, ale otaczały ich tak gęste krzewy, że każdy mógł się w nich ukryć.

Dyskutowali jeszcze, gdy dołączyła do nich grupa podróżnych. Wiedzieli doskonale, że są to thagowie.

- Rozbijasz tu obóz? - spytał jeden z nich.
- Muszę się jeszcze zastanowić - odparł Iain, wysławiając się czystym językiem urdu.
- Jest tu miejsce dla nas dwóch - odparł thag.
- Ale nasz dom jest daleko.
- Trudno, skoro musicie jechać dalej... - odpowiedział thag.

Dobrze wyćwiczony chór głosów domagał się, by zostać i nie iść dalej z powodu zmęczenia. W końcu po wielu argumentach, w których lubują się Hindusi, wszyscy się zgodzili, że na noc zostaną tutaj.

Potem inna, mniejsza grupa thagów przyłączyła się do nich. Zarówno William Sleeman, jak i Iain dostrzegli, że po krótkiej pogawędce i wymianie wrażeń, niektórzy zaprzyjaźnili się z różnymi osobami z ich grupy.

Kiedy nareszcie ludzie Sleemana zaczęli przygotowania do snu, thagowie ułożyli się obok swoich nowych kolegów.

Tylko William i Iain nalegali, by zostawić dla siebie namioty i było to zupełnie zrozumiałe, ponieważ ubrani byli lepiej i wyglądali na bogatszych handlarzy.

Sprawiali wrażenie, że reszta towarzyszy pracuje dla nich i że wielbłąd należy także do nich.

Instrukcje Williama Sleemana mówiły, aby nie rozpoczynać walki zbyt wcześnie.

Wuj chciał się całkowicie upewnić, czy wszyscy thagowie wraz ze swym przywódcą byli tam obecni. Planował również wtedy, o ile było to możliwe, wyłapać ich z żółtą szarfą w rękę.

Żółta szarfa stanowiła wystarczający dowód dla wymiaru sprawiedliwości.

Chcąc uzyskać najcięższy wymiar kary, musiał złapać thaga w czasie, gdy ten popełniał zbrodnię. Karany był przez powieszenie lub skazywany na dożywocie.

Jednakże, gdy dowiedział się od Nasira, że thagowie mieli zostać ostrzeżeni o zasadzce, nie było czasu do stracenia.

Schwytni niespodziewanie, nie próbowali ucieczki. Walczyli o życie i wielu z nich zginęło.

Reszta została przewieziona do więzienia w Saugorze, a w następnym tygodniu dwóch przywódców i najbardziej agresywni spośród nich zostali skazani na śmierć przez powieszenie.

Innych napiętnowano. Fakt, że podczas tej wielkiej operacji ani jeden thag nie zdołał uciec, wywarł tak niebywale wrażenie na miejscowej ludności, że William Sleeman powiedział z triumfem:

- Moja misja dobiega końca!

Brucena wydała okrzyk zachwyty. Po akcji wuj pospiesznie przesłał pocztą raport do generała-gubematora.

W odpowiedzi przyszła propozycja dla Iaina Huntleya objęcia stanowiska w sztabie lorda Williama Bentincka.

Gdy ją otrzymał, pomyślał, że stanowiła odpowiedź na jego modlitwy, ponieważ w pobliżu Saugoru miał trudności ze znalezieniem dla siebie i Bruceny bungalowu, w którym mogliby zamieszkać po ślubie.

Huntley miał wrażenie, że po tym wszystkim, co przeszła i widziała, Brucena nie potrafiłaby opanować strachu, jeśli zostawiłby ją samą nawet na jeden dzień.

Wiedział już, że cały niepokój skrywałaby w sobie. Było niezwykajne dla Angielki, nawet zamieszkałej w Indiach, przeżyć to, co ona, kiedy został sam w Gwalior, a z pewnością wtedy, gdy znalazła się w centrum walki, w której zginęło tylu ludzi.

Dobrze wiedział, że obawiała się wyłącznie o niego.

Kiedy w końcu pozostali przy życiu thagowie żałośnie błagali o łaskę sipajów, którzy wzięli ich z radością, wrócił do namiotu, gdzie zastał Brucenę klęczącą na ziemi. Miała złożone dłonie, a jej usta poruszały się w modlitwie.

Chciał ją objąć, ale był splamiony brwią thagów, których ranił szpadą, ponieważ ci bronili się nożami przygotowanymi dla swych ofiar.

Wyciągnął więc tylko rękę i powiedział łagodnie:

- Kochanie, już po wszystkim. Wracamy do domu.

Po tych wydarzeniach całym sercem pragnął stworzyć Brucenie lepsze warunki życia, choć wiedział, że nigdzie nie będzie tak szczęśliwy jak w Indiach.

Z tego też względu zaproszenie generała-gubernatora stanowiło wspaniałą okazję na spełnienie wielkich nadziei.

Iain wiedział, że był to nie tylko szybki awans, ale również pierwszy krok wiodący prosto na stanowisko rezydenta, a jeśli ktoś posiadał wyjątkowe szczęście lub był zaradny - to jeszcze wyżej, na stanowisko zastępcy gubernatora prowincji.

Brucenie zależało najbardziej, by ślub odbył się przed wyjazdem Iaina do Kalkuty.

- Nie pojedziesz... beze mnie, prawda? - spytała z lękiem.

- Sądziłaś, że mógłbym cię zostawić? - spytał.

Dni spędzone na przygotowaniach uroczystości ślubnej były pełne wrażeń. Brucena w krótkim czasie musiała znaleźć dla siebie ubranie, w którym miała nadzieję zachwycić Iaina.

Na szczęście Amelia miała wieczorową suknię ofiarowaną w prezencie przez ojca, a straciwszy figurę nie mogła jej już założyć.

- Będiesz ją nosić po urodzeniu dziecka - zaprotestowała Brucena.

Kuzynka roześmiała się.

- Poproszę ojca i przyśle mi nową. A czyż nie jest ważniejsze, abyś ty jako panna młoda spodobała się Iainowi? Dzięki Bogu mam koronkę, którą z łatwością można przerobić na welon.

Jedno było pewne - w małym kościółku w Saugorze jeszcze nie było tak pięknej panny młodej. Kiedy Brucena wsparta na ramieniu wuja szła między ławkami, ze spojrzenia Iaina odgadła, że jest dla niego wszystkim, o czym marzył.

Uroczystość bardzo ją wzruszyła. Modliła się, by uczynić Iaina szczęśliwym. Czowała też, stojąc przy nim blisko, że on modlił się o to samo dla niej.

Podpisali akt ślubu i kiedy nowożeńiec uniósł nieco do góry welon i pocałował ją, miała wrażenie, że tym symbolicznym gestem Iain oddaje jej swe serce i duszę.

Po wzniesieniu toastu, Brucena musiała w pośpiechu przebrać się w strój podróżny, by nie spóźnili się na pociąg.

Podczas tego przedziwnego miesiąca miodowego, mieli przejechać całe Indie w drodze do Kalkuty.

Chociaż rozpoczęli podróż w pociągu, czekało ich po drodze wiele przesiadek na inne środki lokomocji.

Jak do tej pory w Indiach zbudowano niewiele trakcji kolejowych, chociaż Brytyjczycy ciągle jeszcze wznosili nowe, między najważniejszymi miastami.

Pierwszego dnia przemierzyli zaledwie trzydzieści mil. Potem wynajęli bungalow na dwa dni i dalej, do następnej stacji musieli dotrzeć drogą.

Dla Bruceny była to tak wielka rozrywka, że nieomal co chwila okazywała swoje podniecenie i zachwyty.

Nadchodził wieczór, gdy pociąg zatrzymał się na małej stacji, skąd mieli potem pojechać w dalszą podróż.

Przyjaciele Williama Sleemana, którzy udostępnili im swój dom, przebywali w tym czasie w Bombaju, więc na miejsce młodą parę dowieźli powozem ich służący. Z wagonu strażników wyładowali cały ich bagaż, a także wszystkie pozostałe rzeczy osobiste będące w przedziale.

W chłodzie wieczora, jechali przez zalesioną okolicę w stronę białego bungalowu, położonego nad niewielkim jeziorem obrosniętym tak pięknymi kwiatami, że Brucena wydała okrzyk zachwyty, kiedy je ujrzała.

Gdy służba przyniosła im zimne napoje, stali obok siebie na tarasie. Zachód słońca był urzekający, złotym kolorem pokrywał tafle jeziora i piaszczysty brzeg.

Każde drzewo w bambusowym gaju miało teraz ciepły kolor ognistej moreli, co zapowiadało rychłe zapadnięcie opalizującego półmroku.

- Jakie to piękne - wyszeptała.

- Ty także jesteś piękna, moja najdroższa - odparł Iain. W jego głosie było coś, co spowodowało, że jej serce zaczęło bić w piersi jak oszalałe.

Kiedy po jakimś czasie poszła do swej sypialni, stwierdziła, że jest urządzona przyjemnie i bardzo wygodnie. Szerokie łóżko stało na samym środku, osłonięte moskitierą. Wyglądało jak starodawny galeon. Poczowała rumieńce na twarzy.

Stała chwilę i pomyślała, że jest to ich pierwszy wspólny „dom” i dlatego powinna w jakiś sposób go ożywić.

Przypomniała sobie znowu podniecenie wywołane przygotowaniem do ślubu. Do torby z rzeczami przeznaczonymi do użytku w podróży, zapakowała miniaturę swojej matki i pięknie haftowaną narzutę na łóżko.

Amelia ozdobiła ją wstążką muślinową, koronką i miała dać w prezencie komuś z Mauritiusa.

Oddała ją jednak Brucenie. Dodatkiem była mała koronkowa poduszka z podwójnymi kokardkami w każdym rogu.

Gdy Brucena rozłożyła te rzeczy na łóżku, poczuła, że do nastroju pokoju dołączyła cząstkę siebie.

Miała ze sobą także prezent, który uważała za najcenniejszy spośród wszystkich: drewniany gwizdek od Azima, подарowany jej przed samym wyjazdem.

Wiedziała, że była to rzecz dla niego najcenniejsza i zraniłaby go nie przyjmując.

Położyła gwizdek obok portretu matki i postanowiła zachować do końca życia. Być może pewnego dnia opowie swoim dzieciom, w jaki sposób stał się jej własnością.

Spoglądała wokoło i zadowolona westchnęła lekko.

Potem wiedząc, że Iain jej oczekuje, poprosiła hinduską pokojówkę, by pomogła jej przebrać się w najładniejszą wieczorową suknię. Ponieważ nie miała żadnej biżuterii, wpięła we włosy białą orchideę.

Kiedy przyszła do salonu, jego oczy wyrażały nie tylko podziw, lecz także uczucie miłości. On również przebrał się na wieczór w uroczystry mundur bengalskich lansjerów.

- Teraz już wiem, na co tak czekałem przez pół wieku - powiedział. - Ale warto było!

- Czy długo kazałam ci czekać? - Chciałam ci się dziś wieczór... podobać.

- „Podobać”? To zupełnie niestosowne określenie dla tego, co widzę, kochanie - odparł.

Służący czekali już, by podać kolację, więc nie miał sposobności pocałować Brucenę. A jednak, gdy usiedli naprzeciwko siebie, czuła się jakby była w jego ramionach, a ich oczy mówiły sobie wszystko to, czego usta nie mogły.

Nie dostrzegła nawet co jedli i pili. Wiedziała tylko, że otacza ją zaczarowany świat, stworzony wyłącznie dla nich dwojga. Gdy wrócili do salonu, lampy oliwną oświetlały wnętrze miękkim złotawym światłem, a na zewnątrz rozsiane po niebie gwiazdy błyszczały jak brylantowe świetliki.

Mieli sobie tak wiele do opowiedzenia, tak wiele Brucena chciała się dowiedzieć od samego Iaina, że czas upływał niepostrzeżenie.

Kiedy nagle zorientowała się, że zrobiło się późno, rozmowa zaczęła stopniowo zamierać. Domyśliła się, patrząc w jego oczy, że nie było potrzeby siedzieć dłużej.

Wyciągnął do niej rękę i Brucena wstała.

- Czas, żebyś poszła spać, moje najdroższe kochanie - powiedział. - Poleciałem twojej pokojówce, żeby na ciebie nie czekała, ponieważ chcemy zostać sami.

- Ja... również tego chcę - zamierzała odpowiedzieć, lecz zawstydziała się.

Przytuliła głowę do jego piersi.

Ucałował jej włosy i objąwszy ramionami, poprowadził korytarzem do sypialni.

Przy łóżku paliła się tylko jedna, mała lampka oliwna.

Oświetlała koronkową narzutę i mały jasiek, wytwornie ułożony na obszernej poduszce z białego lnu.

Patrząc na żonę, Iain miał uśmiech na ustach. Potem odpiął białą orchideę, a jej włosy opadły na ramiona jak złoty obłok.

- Właśnie taką cię zobaczyłem tamtej nocy, kiedy byłaś wystraszona i wpadłaś prosto na mnie w korytarzu. Chociaż byłaś śmiertelnie przerażona, pomyślałem, że żadna inna kobieta nie wyglądałaby piękniej i nie byłaby bardziej ponętna, słodka i czarująca w każdym calu.

- Pocałowałeś mnie - odrzekła. - Nie pytając, czy ci wolno.

- To było niewybaczalne - roześmiał się. - Pokierował mną jakiś niepohamowany impuls, a potem nigdy tego nie żałowałem.

- Ja., także... nigdy tego nie żałowałam - wyszeptała. - Lecz zastanawiałam się często, czy gdybym nie była wtedy tak bardzo przestraszona, pocałowałbyś mnie... czy byłbyś pewien, że mnie kochasz?

- Byłem pewny siebie, ale nie ciebie - odpowiedział. - Zastanawiałem się, czy ciągle jeszcze mnie nienawidzisz.

- Kochałam cię, a jednak o tym nie wiedziałam.

- A teraz?
- Kocham cię całym sercem!
- Chcę, żebyś mi to powtarzała - odparł. Potem, gdy jego usta przyłgnęły do jej warg, poczuła, że na plecach odpina guziki jej sukni...

* * *

Później, dużo później, kiedy słyhać było już tylko muzykę nocy i bicie jego serca, spytała:

- Czy to możliwe, by być równocześnie tak szczęśliwą i nie umrzeć pod wpływem takiego... cudu?

- Ależ właśnie ty żyjesz, mój skarbie. Przytulił ją mocniej i pocałował w czoło. - Czy naprawdę cię uszczęśliwiłem?

- Tak bardzo, że aż się boję.

- Boisz?

- Tak, że któregoś dnia obudzę się i wszystko okaże się snem!... Bo czyż może to być prawdą?

- Ależ tak, przysięgam ci.

- To, co się nam zdarzyło jest jak opowieść z książki. Najpierw byłeś dzielny i wspaniały, potem pokochałeś mnie, a na koniec poślubiłeś. Och, Iain, powiedz, że to rzeczywistość!

Roześmiał się lekko i musnął ustami jej gładką skórę.

- Będę dotąd składał ci dowody mojej miłości, aż ostatecznie przekonam cię, że jesteś moja, całkowicie, moja i absolutnie moja! Historia naszej miłości jest prawdziwa tak samo jak to, że jesteśmy w Indiach i cały ten olbrzymi kraj leży u naszych stóp.

- A przypuścmy, że staniesz się kimś ważnym i... utracę cię?

- Sądzisz, że to możliwe? - spytał. - Kochanie, zapominasz, że w tym miesiącu stałem się kimś ważniejszym i właśnie głównie tobie zawdzięczam mój awans.

Musnął wargami jej powieki, zanim powiedział:

- Mówi się, że mężczyzna osiąga sukces mając przy sobie kobietę, która wspiera jego wysiłki, by piał się w górę. I ty tego dokonałaś.

- Tak bardzo się z tego cieszę. Iain obrócił jej twarz ku sobie.

- Żadne z nas nie zamierza stać się kimś bardzo ważnym. To oddala i od siebie, i od ludzi, na których nam zależy. Zawsze będą w Indiach dzieci podobne do Azima, potrzebujące wsparcia i pomocy. Zawsze trzeba będzie naprawiać zło i tłumić bandy podobne thagom.

- Pozwolisz mi bym ci pomagała? - spytała.

- Nie tylko ci pozwolę, ale będę nalegać, byś to robiła. Twój bystry umysł i jasność myślenia już spowodowały, że zostałem ocalony i jestem pewien, że tak będzie dalej.

- Nie chcę nawet myśleć o tym, że będziesz się znowu tak narażać.

- Sądzę, że tego nie unikniemy - odrzekł poważnym tonem.- Lecz jeśli użyjesz tego swojego niezwykłego instynktu, moje słodkie kochanie, mogę na ciebie liczyć w każdej niebezpiecznej sytuacji.

- Och Iain, cieszę się... tak bardzo się cieszę - wykrzyknęła. - Chciałabym być dla ciebie odpowiednią żoną i czuć, że możesz na mnie polegać.

- Wiem, że mogę.

- Amelia jest odpowiednią żoną dla wuja Williama. Z początku nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie gniewa się i nie denerwuje przed każdym jego wyjazdem.

Dlaczego?

Wszystko się wyjaśniło, gdy czekałam na ciebie tamtej okropnej nocy w namiocie.

- Amelia darzy ślepym zaufaniem Williama, ponad to gorąco wierzy w Boga. Dzięki temu jest przekonana, że bez względu na niebezpieczne okoliczności, w jakich się znalazł, zawsze do niej wróci. Westchnęła głęboko.

- Będę robić to samo: Będę wierzyła w ciebie... mój cudowny mężu i... w Boga.

Przytulił ją mocno. Potem odezwał się stłumionym ze wzruszenia głosem:

- Czyż jakaś inna kobieta mogłaby być tak wspaniała? Uwielbiam cię za to, co mówisz do mnie, za twoje myśli, które są jak gwiazdy rozjaśniające ciemności. Nie mogę się oprzeć twojej łagodności i urodzie. Każda doskonała cząstka ciebie należy do mnie.

- Jestem twoja. Cała należę do... ciebie. Wypowiedziała to z pasją w głosie. Rozbudzone wcześniej pożądanie powróciło i narastało w niej, gdy poczuła dotyk jego ręki.

Czuł tak samo jak ona, więc ułożył ją na poduszkach.

Leżała teraz patrząc w niego.

W migotliwym świetle oliwnej lampy widział jej oczy, szerokie i błyszczące. Gdzieś głęboko dostrzegł w nich ogień pożądania.

Jego ręce stawały się coraz bardziej natarczywe i Brucena uniosła ku niemu usta, tak jak on pragnąc pocałunku i wzajemnej bliskości.

- Zaczarowałaś mnie! - powiedział.

I jego usta dotknęły jej ust, a ich serca były obok siebie!

Nie byli już dwojgiem ludzi, lecz stali się jednością. Rozpierzchły się ciemności, a niebiańska miłość stłumiła wszelki strach.